PRACA

Witaj Roku 1900.



Słyszycie! północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa
Jak sen przepada...
Krzyczmy, rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
A nie opada.

Rok stary jak ziarnko piasku
Stoczył się w czasu przestrzenie;
Czyż go żałować?
Niech ginie! bez łzy, oklasku,
Jak ten gladjator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie —
Czas go pochować.

Bywały lata, ach! krwawsze
Z rozpaczy jękiem lecące
W przeszłości mrok,
A echo powraca zawsze
Przynosząc skargi palące...
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
Na Nowy Rok!

Z pod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
Na stały ląd!
Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,
Bacząc, by w stronę nas inną
Nie uniósł prąd.

Rozumu! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
Wszakże już czas!
Choć różni twarzą lub czynem
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrży miłością w łonie
I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
Jest światłem dusz;
Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstrętu
I wyrwać słabych z odmętu
W pośrodku burz.

Niech żyją pierwsi w narodzie!
Jeżeli zawsze są pierwsi
I w poświęceniu,
Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczersi,
Swą dumę umieszczą w piersi,
A nie w imieniu.

I ci, co żadnej spuścizny
Na łonie matki nie wzięli
Prócz łez — niech żyją!
Jeżeli miłość Ojczyzny
Jako synowie pojęli
I na wyłomie stanęli,
Gdzie gromy biją.

Spełnijmy puhary do dna
I życzmy sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!
Niech myśl powstanie swobodna
I światło błyśnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddajem
Przyszłości kwiat.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
Męczeński ród,
Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy
Wołając: jeszcze jesteśmy —
Niech żyje lud!

1. 1. 1900.

y.



Życzliwe noworoczne słowo!

Do tych, którzy „*Pracę*“ znają, czytają i prenumerują, zwracamy się dziś — z *Nowym Rokiem* z gorącą prośbą.

Znana to rzecz, że każde wydawnictwo pragnie mieć jak najwięcej poparcia u rodaków, wszak to jego cel istnienia, wszak to jego dążność, aby każde słowo tu wypowiedziane odbiło się tysiącznem echem w sercach braci.

Powszechnie — ***niestety*** wyrobione jest to mniemanie, iż redaktorowie i wydawcy pism starają się o powiększenie liczby czytelników dla celów i zysków materyalnych. Opinia ta — istotnie jest raniącą blizną w sercach tych, którzy poświęcają swe życie pracy piśmienniczej. Praca tych, którzy składają swe ziarnka na kłos plonny jednego numeru gazety — jest pracą ducha, serca, myśli i życia, więc jako taka — nigdy nie da się tylko groszem nagrodzić — nigdy nie da się tylko materyalną zapłatą zadowolnić. Tym, którzy dają serce — trzeba serca — którzy z głębi swego ducha snują nici na pokarm myśli czytelników — trzeba w nagrodę nieść to przeświadczenie, iż naród tę pracę ceni — iż ją rozumie i garnie ją ku sobie. Jako ów mówca z trybuny — z większym ogniem i zapałem przemawia, gdy widzi wokoło siebie coraz liczniejsze grono słuchaczy — tak i pracownicy gazety — z zdwojoną siłą i uczuciem gorętszem mówią, gdy widzą, iż zastęp ich przyjaciół i czytelników powiększa się.

Więc i my wszyscy, którzy do „Pracy“ należymy, którzy się na myśl i treść jej ducha składamy — pragniemy uzyskać to najmilsze dla nas wynagrodzenie za trud i poświęcenie — którem jest — zwiększona liczba czytelników.

Prosimy was zatem bracia i rodacy ukochani — otwórzcie wśród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i sąsiadów wrota dla nas.

Gdybyśmy — my — współpracownicy „*Pracy*“ szli po Ojczyźnie razem, jako owe pacholęta z gwiazdą i pukali do waszych progów i prosili! — przyjmcie nas, opowiemy wam nieco z przeszłości — zaśpiewamy piosenki, pogawędzimy o dzisiejszej dobie pełnej cichej walki i trudu — czyżbyście przed nami trzymali drzwi zamknięte i nas nie przyjęli?...

A gdy my — osobiście nie możemy być po tylu — tylu miastach, wioskach, domach, chatach, warsztatach, dworach, czytelniach i szkółkach i t. d., lecz gdy myślą i sercem do waszych wrót dobijamy się, a prosimy — przyjmcie nas — czyli nam nie otworzycie?...

O rodacy!... nie myślcie, że idziemy ku wam — ***dla zarobku!*** Wielkie cele przed nami! — Promienna gwiazda ***Miłości Ojczyzny*** nas wiedzie!... My chcemy iść i jak powiada poetka wołać do narodu:

„Przez pola puste, przez czarne te role,
„Po nad któremi dzień wschodzi przyszłości,
„**Idę — i rzucam siew bratniej miłości**
„Dla tych, co słabi i dla tych, co prości,
„Dla tych, co twardą, ciężką mają dolę.

„*I duszę własną wylewam jak czaszę,*
„Łez srebrnych pełną, by z nich, jako z rosy,
„Brały swą pleność, **jutrzejszych dni**, kłosy,
„Dni, w których nędzarz — dziś nagi i bosy
„**Ukocha cele i nadzieje nasze.**

„*Ja sieję* **ciszę**, *ja sieję* **pogodę,**
„W sercach tych, co są maluczcy u świata,
„Bo znam w nędzarzu człowieka i brata,
„Bo **miłość** — tylko **miłości** zapłata,
„A w nienawiści — wzgarda ma nagrodę.

„Ja ducha mego, ja krew moją sieję,
„**Ja pragnę wstrząsnąć tę ziemię** zoraną —
„Jak grzmot wiosenny, aż **jutro** z niej wstaną
„*Ludzie godniejsi piastować to miano*
„Nie ja pracuję, w tę żyję nadzieję!“

Idziemy — jako siewcy na zagon ojczysty — ***niesiemy ziarna narodowe — ojczyste — Boże...*** pozwólcież, niech słowa padają jak krople rosy — niech dadzą choć drobny maluchny, lecz dla Ojczyzny korzystny — plon... Możecie nam — pomódz wiele!... Niech każdy — poda „Pracę“ drugiemu — niech o niej życzliwe słowo powie przyjaciołom — niech przeszle adres tych, którzy „Pracę“ zrozumieją, a już dużo uczynią.

Życzliwe słowo... to zawsze i wszędzie potęga... takie słowo i dla nas — jest większem poparciem, jak samo zapłacenie kilku marek. O to *życzliwe słowo* wśród rodaków — przyjaciół — sąsiadów prosimy. Nasi bracia serdeczni!... powiedzcie sami — jeśli na zagrodę waszą czycha zły sąsiad, to ją ze wszech stron ubezpieczacie i ochraniacie. Tysiące drobnych rzeczy składa się na ubezpieczanie mienia naszego. Tysiące prac ducha — myśli i serca składa się w Polsce na uchronienie nie zagrody jednej, lecz całej Ojczyzny — od zatraty. Każde poczciwe — w Imię ***Boga i Ojczyzny*** wydawane pismo — strzeże wiele skarbów narodowych od zagłady. Wesprzyjcież więc i wy rodacy pismo nasze, wszak ono jedynie cel i dobro Wasze i Ojczyzny ma przed sobą. Gdy wrogowie ustawicznie czychają na naszą zgubę, my musimy pracować wytrwale, a bić w serce narodu raz po raz wołając: — brońmy się! brońmy się!... Sypmy szańce, kopmy wały obronne — stawiajmy fortece!!... Szańce — okopy i fortece — nie z ziemi, lecz z pracy narodowej, siły ducha narodowego!!! Każdy czytelnik pisma naszego jest z nami w pracy — w boju — w wytrwaniu! Więc dajcie życzliwe słowo o „Pracy“ — rozrzućcie ją — ukochajcie ją — a i nam, którzy w niej pracujemy, dajcie zapłatę nie grosza — lecz serca!!!

Jadwiga Strokowa.

W Nowy Rok.

A więc znowu rok upłynął — rok dla społeczeństwa naszego obfity w walki i utarczki z germanizacyą, w zamachy na podcięcie naszej egzystencyi narodowej, we łzy uciskanych, w godne pochwały wysiłki obudzenia ludu i wskazania mu niebezpieczeństw grożących od germanizacyi... Każdy z nas, spoglądając wstecz na rok ubiegły, widzi jakby pasmo utarczek, i krzywd, i cierpień. Niejednemu też na widok usuwania języka polskiego ze szkół, na widok niepożądanej opieki nad najdrobniejszemi towarzystwami, na widok tysiącznych tych sposobów, jakich germanizacya używa, aby ze szczętem wyplenić z serc polskich posiew miłości ojczyzny, nasuwa się mimowoli westchnienie „ciężki to był rok". Lecz dłoń, co kieruje losami narodów, zrządziła, że uderzenia wymierzone przeciw nam z całą furyą i zaciekłością, zamiast rozbić w puch, mocniej tylko zespoliły w jedną całość wszystkie cząstki naszego społeczeństwa. Tak jest! To nie czcza igraszka słów! Ten rok, w którym każdy dzień upłyniony oznacza nowy zamach przeciw polskości, zostawia swemu następcy, jako spuściznę, utrwalone dziś już wśród ogółu przekonanie, że hasłem naszem ma być: *łączność i zgoda!*

O ile praktycznie to hasło pojmujemy — a że tak jest w istocie, dowody coraz są częstsze — korzyść to dla sprawy wielka: bo tem hasłem otworzymy prostemu ludowi oczy na plany zdradzieckie, co polskości zagładą grożą.

Więc w górę serca! Niech brzmi fanfara germanizatorów, niech ich patentowani fabrykanci pomysłów antypolskich wykuwają w swych kuźniach coraz to nowe projekty ujarzmienia w nas ducha, *nic nie osiągną*, nie podamy w pogardę naszej wiekopomnej przeszłości, nie zrzekniemy się przyszłości, która nam szczęśliwszą dobą zabłysnąć musi, jeśli, silni łącznością i zgodą, na każdy nowy cios odpowiemy podwojeniem pracy na polu oświaty, na polu krzewienia poczucia narodowego.

Naród żywy zawsze w sobie odnajdzie dość siły dla oparcia się wszelkim zamachom odarcia go z najświętszej spuścizny przodków i z praw dorabiania się lepszej przyszłości; i my z tych praw nie zrezygnujemy — każdy rok miniony za dowód powinien by służyć germanizatorom, gdyby chcieli trzeźwo spoglądać na rzeczy, zamiast uganiać się za widmem wynarodowienia.

A jeśli w ubiegłym roku mieliśmy już pewien niewątpliwy postęp na polu zorganizowanej i łącznej obrony sprawy narodowej, to życzyć tylko możemy, abyśmy w tym nowym roku znaleźli w piersiach podwójny zapał, zdwojoną energię i chęć obrony sztandaru ojczystego. Niechaj hasło *łączności i zgody* wszechpotężnie zapanuje nad wszelkiemi innemi hasłami, niechaj w ogniu tej obywatelskiej łączności i zgody przetopią się na szlachetny kruszec wszelkie współzawodnictwa i ambicyjki! Niechaj rok ten nowy będzie podniosłem świętem narodowem zbratania się wszystkich warstw społecznych; niech nowe tysiące siermiężnej braci staną się Polakami nietylko z urodzenia i przyzwyczajenia, ale z przekonania i zrozumienia losów naszego narodu, które na każdego jednaki wkładają obowiązek patryotyczny. Niechaj rok ten będzie rokiem ocknienia dla obojętnych wobec sprawy narodowej; niech jej szermierzy na każdem polu przysporzy, którzy imię polskie wsławią na polu literatury i sztuki, na polu nauki i zawodów praktycznych, na polu... poświęcania spraw osobistych dla dobra ogółu.

A starym bojownikom, zasłużonym szermierzom w bezkrwawych szrankach, dzielnym przywódcom zasłużonym około sprawy narodowej, niechaj ten dziś rozpoczęty rok nowym będzie dowodem, że ślad ich pracy wśród następnych pokoleń żyć będzie.....

* * *

Jakież wreszcie życzenia złożyć mamy naszym najmilszym czytelnikom? Rok temu do pięciu tysięcy przemawialiśmy z tego miejsca, obecnie przemawiamy do dziesięciu tysięcy. Widocznie każdy z tych dawniejszych i sam pozostał nam wiernym i nowego czytelnika nam zjednał. Mielibyśmy więc powód i specyalne życzenia nasze zwrócić do grona tych dawnych wiernych przyjaciół. Jesteśmy jednak pewni, że nowi równą nas darzą życzliwością i wszyscy uczestniczą w naszej pracy duchowej, w naszem budzeniu poczucia narodowego w nadziei zwycięstwa sprawiedliwości i że się rozumiemy.

Sto lat zaledwie minęło, odkąd Polska znikła z szeregu państw samodzielnych; nim drugie sto lat minie — karta się może odwrócić. A więc, w ten dzień Nowego Roku życzymy naszym czytelnikom, aby razem z nami *setnych lat doczekali!* — —

Zrozumieliśmy się, wszak prawda?

Redakcya.

Siły, Pracy, Wiary.

Nowy Roku, Nowy Roku
Co nam niesiesz w dani?...
Czy przy twoim idzie boku
Niewidoma pani,
Niosąc z sobą w pełnej dłoni
Dar każdemu miły?...
Temu, co się tobie skłoni,
Czego życzysz?...
— Siły.

Nowy Roku, krzepki, młody,
Z nieba idziesz w gości,
Dobrej woli daj dowody
I swej życzliwości —
Niesiem ci na powitanie
Chleb i sól na tacy,
By cię zjednać, młody Panie,
Czego żądasz?...
— Pracy.

Nowy Roku, Nowy Roku,
Krótkie twoje słowa,
Rozum w ustach masz i w oku,
Dzielna z ciebie głowa!...
Powiedz jeszcze czego trzeba,
By dobre zamiary
Błogosławił Pan Bóg z nieba
W ludzkiej pracy?...
— Wiary.

M. K.

1900.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“).
(Do illustracyi.)

Uderza już godzina,
Mar chwiejnych, dziwny tłok...
Coś w sferach się poczyna —
To wstaje Nowy Rok.

*

Przez jaki w swym okresie
Dziejowy przejdzie szlak,
Co zdziała, co przyniesie:
W zapytań spływa znak.

*

Hej! w górę wszystkie serca!
Święć, Boże, ziemski ród!...
Niech ginie mrok bluźnierca!
Witajmy nowy wschód!

Maryan z Kujaw.





Nowe stulecie czeka u proga...

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

Wszystko ulega prawu zniszczenia —
Potężne państwa prochem się stają,
Czas pozostawia tylko złudzenia —
Wiek i minuta równe się zdają.

Chronos okrutny wszystko pochłania,
Szybko na skrzydłach lekkich ucieka,
Świat tajemnicy przędzą osłania
I kosą niszczy dzieła człowieka.

I znowu jedno minęło żniwo,
Jak czas, niszczyciel, swem berłem włada,
Dzisiaj rok stary głowę sędziwą
Swoją do ciemnej mogiły składa.

Niewiele szczęścia, trochę wesela
Z złotego runa braci udzielał,
Lecz ileż cierpień i kolcy wiela
Po życia ścieżce naszej rozścielał?

Cóż dla Polaków zdziałał dobrego?
Czyż ulżył w części brzemienia losu?
O! nie ukrócił jarzma srogiego,
Nie słyszał bólu naszego głosu!

Na nasze skargi głuchym pozostał,
Nie pieścił nigdy słowem pociechy,
Jak ojczym z dziećmi zimno się rozstał,
Nie wniósłszy lepszej doli pod strzechy.

Nowe stulecie czeka u proga
I barwną tęczę życzeń roztacza —
Narody, króle przejmuje trwoga,
Cóż im nieznany przybysz przeznacza?

My, bracia, stójmy, u bram jedności,
Czerpajmy siłę ze skarbu wiary,
Łączmy się ściśle osią miłości,
Znośmy cierpliwie wszelkie ofiary!

Niebios to wola, Bóg nas próbuje,
Czyśmy do wielkich przeznaczeń zdolni,
Bóg wyzwolenia drogę gotuje
Dla ludu swego — będziemy wolni! — —

Przeszłość jest dla nas szczeblem przyszłości,
Walczmy więc o nią wśród burz, zawiei,
Walczmy o mowę naszą w równości,
A wzejdzie dla nas gwiazda nadziei!

S. R.

Poznań, na dzień Sylwestra 31. XII. 99.

1900



Dwunasta blizko!

?

A imię jego 1900. Musiał się zacząć, bo jego poprzednik 1899 zakończył okres swego istnienia, z góry przewidziany, nie dający się skrócić lub przedłużyć, chociaż o sekundę, nawet o tercyę...

Czemże jest ów Nowy Rok? Taka sobie podziałka czasu, dla biegu spraw zwykłych oznacza, obrachunek i zamknięcie bilansu dawnego, otworzenie zaś i zaczęcie nowego!

Na szali dziejowej świata, historyi państw, zmian społecznych i cywilnych, owa „podziałka czasu“, niewiele zaważy. Jeden rok, za krótki to okres, aby scharakteryzował epokę. Dopiero dziesięciolecie historya bierze pod uwagę, zaś każdy wiek wyodrębnia jedną epokę od drugiej...

A jednak, stając u progu tej maluczkiej „podziałki czasu“, każdy się zaduma na temat:

— Co to rok nowy przyniesie?

Staje on przed nami, jako znak zapytania, jako przyszłość zasłonięta przed okiem śmiertelnych, usiłujących chociażby rąbek tej tajemniczej zasłony odchylić i...

I cóżby człowiekowi przyszło ze świadomości faktów, mających się w ciągu trwania onej „podziałki czasu“ spełnić?

Skoro nie mógłby tego, co musi nastąpić, zmienić, o samo zaspokojenie czczej ciekawości, nie warto się kusić.

Lepiej raczej domyślać się, przewidywać, przypuszczać, na zasadzie faktów spełnionych. Wielki łańcuch, złożony z ogniw: przyczyn i skutków, harmonijnie splecionych, poucza nas, że posiew jednego okresu czasu daje owoce w drugim, że odległa, niezapamiętana nawet przyczyna, wyradza kiedyś skutek, a ten znów staje się nową przyczyną dla mającego w dalszym ciągu wyniknąć rezultatu...

I pędzi w wieczność to wielkie kolisko, nie z jakimś ślepym, przypadkowym rozmachem, ale kierowane rozumną Siłą, tą Siłą, która jest Przyczyną przyczyn, wobec której, atom, proch ziemi, mianujący się *homo sapiens*, pada na kolana, z uwielbieniem mówiąc słowami psalmisty:

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony.

Więc komu mroki pychy nie zasłaniają Wszechmocy, Mądrości i Opatrzności Stwórcy, czyjego serca nie wyziębiły liczmany, podawane za złoty kruszec nauki, ten z całym spokojem staje przed znakiem ?, tkwiącym w nowej „podziałce czasu“, zwanej 1900. Bo jak powiada Jan z Czarnolesia:

A nigdy nie zbłądzi,
Kto tak swój umysł rządzi,
Jakoby umiał szczęście i nieszczęście znosić,
Temu mężnie wytrzymać, w owym się nie wznosić.

Werytus.

Powitanie Nowego Wieku.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

I.

Dziecino! jeszcze w kolebce,
Albo raczej ty olbrzymie,
Czyż twa ciężka stopa zdepce
Wszystko co w kadzideł dymie
Nurza się,. czy prawem bytu
Olśnisz świat aż do przesytu?
Człeku, o to się nie pytaj,
Witaj nowy wieku, witaj!

II.

Chrystus Pan się nam narodził,
Przyszedł na świat biedny, mały,
Świat z niedoli oswobodził,
Dzisiaj pełno Jego chwały.
Ze stajenki wyszła sława,
Kuli ziemskiej dała prawa.
Prawdo! Ty wszem ludom świtaj!
Witaj nowy wieku, witaj!

III.

Dla nas jednak czas ponury,
Tryumfują nasi wrodzy,
Świat zaległy szare chmury,
I w niedoli bracia drodzy.
Wszystkich nas strapienie ciśnie —
Kiedyś szczęście nam zabłyśnie?
Wolności! Ty nam zawitaj!
Witaj nowy wieku, witaj!

IV.

Choć się prawdy moc rozszerza,
Zawsze pycha ją przyćmiewa!
Grom po gromie w nas uderza,
I zła siła świat zalewa.
A ten, kto ma moc, dostatki,
U kogo pieniądz nie rzadki,
Woła: złoto najpierw chwytaj!
Witaj nowy wieku, witaj!

V.

Daj nam poznać, że czas wielki
Spełnić to, co przeznaczone
Jest od wieków; by człek wszelki
Nie czynił co mu wzbronione.
Niechaj prawda nas oświeca,
Światło wiary w nas roznieca!
Boża nauko! rozkwitaj!
Witaj nowy wieku, witaj!

Topór.

Wspomnienie.

Karta noworoczna Adama Mickiewicza.

Za czasów uniwersyteckich Adam Mickiewicz przepędzał święta w Nowogródku; lecz Święta Bożego Narodzenia w r. 1818 obchodził zapewne w Wilnie; w następnym bowiem roku kończyły się już studya uniwersyteckie i poeta musiał myśleć i przygotowywać się do egzaminu ostatecznego na stopień magistra.

W przekonaniu tem utwierdza poniekąd bilet z powinszowaniem Nowego Roku 1819, który poeta przesyłał lub zostawiał u znajomych wileńskich. Ciekawa ta pamiątka, której wierną dajemy podobiznę, jest może pierwszym biletem wizytowym wieszcza. — Skromnym jest bardzo jego wygląd, gdyż na

Adam Mickiewicz
z powinszowaniem
Nowego Roku 1819.

zwykłym do druku i pisma używanym podówczas papierze, wydrukowano, o ile się zdaje, prasą ręczną, w trzech wierszach napis mieszczący się na tym bilecie. Na drugiej stronie własną ręką poeta napisał: „W.(ielmożnemu) Jurowiczowi.“

Z nazwiskiem tem nie udało nam się spotkać nigdzie więcej, nic też bliższego o tym znajomym poety na razie powiedzieć nie możemy; lecz bilety noworoczne Mickiewicza z owego czasu są bezwątpienia dowodem rozgałęzionych stosunków towarzyskich, które utrzymywać pragnął. *L. M.*



Rok stary i nowy.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)
(Do illustracyi.)

Dwunasta blizko! Zegar wszechświata
Wahadłem wolno czas mierzy,
Za każdym ruchem życie ulata,
I głów ach! tyle już leży.

Północ! godzina duchów i zbrodni,
Dzisiaj słuchajmy jej bacznie;
Rok stary schyli światło pochodni,
Tylko dwunasta bić zacznie.

Czas! siwy starzec, z brodą do pasa,
Stanie u wrótni zamczyska,
Przynosząc z sobą rok, co dogasa,
Końcem mu północ już blizka.

Zamek wszechświata, spękane mury,
Na podwalinach z granitu,
Wyniośle dźwiga, sięgając w chmury
Aż het! — tam — w sfery zenitu.

Dziś znowu jeden rok tu zapadnie,
Jeden rok więcej się zmieści,
I ponad tomy leżące na dnie,
Dorzuci pamięć swej treści.

Idź więc w spoczynek! Żegnać cię, roku,
Naszą przypadło dziś dolą,
My, co żyjemy z Boga wyroku,
Jego trzymani tu wolą —

Już od północy, czekamy rana,
O Łaskę prosząc Twą, Boże,
Idziemy wszyscy paść na kolana —
Rok nowy, lepszym być może!

Jutrzejsza zorza blaskami tęczy
Świat stary cudnie ustroi...
Wejrzyj, o Boże! lud w blaskach klęczy,
A wszystko słudzy są Twoi.

Oddal niewolę — daj co potrzeba,
My się modlimy, o Panie!
I powszedniego prosimy chleba —
Bez niego, sił nam nie stanie.

Skiń na te niwy, w tuman śniegowy,
Jak w całun biały, osnute,
I daj przy pracy przeżyć Rok nowy,
Jak jedną szczęścia minutę.

Marya B.



W jaki sposób obchodzono Nowy Rok.

Już u Rzymian był początek Nowego Roku hasłem do zabaw i uroczystości: ofiarowywano sobie wzajemnie życzenia i podarunki, zw. *strenae*, składające się początkowo z owoców, suszonych fig i pierników, następnie zaś ze złotych puharów i pierścieni; udawano się też do wróżbitów, ażeby przepowiadali przyszłość i dokonywano różnych praktyk zabobonnych. Ponieważ istniał przesąd, że cały rok tak przejdzie, jak pierwszy jego dzień, spędzano go na hulance i przyjemnościach. Już poprzedzający wieczór i noc schodziły na śpiewach, tańcach, muzyce i pustocie wszelkiego rodzaju. — Rano strojono domy w wieńce i kwiaty, po ulicach przeciągały uroczyste pochody, zdążające do świątyń; kuglarze i skoczkowie dawali przedstawienia, mężczyźni zaś przebierali się w szaty niewieście, kładli maski, albo odziewali się w skóry zwierząt i z wielkim hałasem przebiegali miasto. Z wprowadzeniem wiary chrześciańskiej, Ojcowie Kościoła powstawali przeciwko tym wybrykom, które stopniowo ustały.

W średnich wiekach, ostatni dzień roku, a zwłaszcza wieczór, zwany *Sylvester-Abend*, w Niemczech uroczyście obchodzono. W kronice pewnego miasta nadreńskiego znajduje się wzmianka, że podczas uczty, wyprawionej o północy na powitanie Nowego Roku spożyto 7850 kiełbas, 500 karpi, 300 tuzinów ostryg, 100 szynek, 600 gęsi, 200 cieląt i 500 kur, przytem wypito 90 beczek wina. Po wsiach spędzano całą noc na opowiadaniu baśni i na różnych figlach: chłopcy ze śpiewem chodzili po ulicach, składając życzenia w każdym domu, dziewczęta lały roztopioną cynę na zimną wodę, wyprowadzając wróżby z kształtu ulanych przedmiotów. Zwyczaje te utrzymały się dotychczas w wielu miejscowościach. O północy strzelano, na oznajmienie Nowego Roku, albo trzaskano z batów; w niektórych miastach uniwersyteckich, studenci przeciągali przez ulice z pochodniami a z uderzeniem dwunastej krzyczeli, żegnając rok stary: *pereat!* nowy zaś witali okrzykiem: *vivat!* Na dworze wiedeńskim, od r. 1767, dzień Nowego Roku stanowi największą uroczystość galową; od rana zjeżdżają się urzędnicy, posłowie, wojskowi, dygnitarze i duchowieństwo, ażeby złożyć życzenia cesarzowi. Na wszystkich dworach europejskich panuje tenże sam zwyczaj.

B. L,



U kresu.

Schyłku dobiega wiek stary,
Mienią się życia koleje —
I prawd zwycięzkie sztandary
Nowe zwiastują nadzieje;
A ludzkość — wrażeń nie syta,
A wszędy — jedna piosenka:
Czyli nam rychło zaświta
Zenitu wiedzy jutrzenka?!
Czy, w jej spowity całuny,
Dążąc promiennym swym szlakiem,
Duch nasz zawiśnie w nich ptakiem —
Ziemskie wypatrzy bieguny?!
I czemu duch ów człowieczy,
Bogaty w czynów swych plony,
Nagle upada, zwątlony —
Gdy dnieje światło wszechrzeczy!?
Pochodnia wiedzy mu świeci,
Skarby pomysłów dziedziczy —
Twórcza go jasność promieni!
Czemuż u kresu zdobyczy,
Mglistych nie zedrze półcieni,
I czemu wyżej nie wzleci?
I czemu głucho w obszarze —
I nikną wielcy pieśniarze?...

* * *

Wieku iskry, wieku pary,
Wieku świateł i swobody —
Barwne godłem twe sztandary
Plenne żniwem twe zachody!
Wieku plonów, wieku stary,
Wieku czynu, walk i złota —
Duchem pieśni, światłem Wiary
Złoć twe późne dni żywota!...
Duchu pieśni i ofiary,
Duchu piękna, duchu wieszczy,
Wielkie lotów twych obszary —
Lecz je z ziemskich wyrwij kleszczy!
Rzuć materyi tej ciężary,
Co tak chylą je ku ziemi —
Wyżej, wyżej, skrzydły swemi —
Duchu pieśni i ofiary!...

* * *

Precz z taką pieśnią, co kłamie,
Z dłonią, co w brata uderzy,
Z czynem, co piekieł ma znamię,
Z wiedzą, co w Boga nie wierzy!...
Precz z marnem słowem, co ginie —
Zanim do czynu powoła,
Z sercem, co kochać nie zdoła,
Łzą, co dla braci nie płynie!...
I precz z tą drzemką leniwą —
Co bliźniej obca niedoli!...
I niech w żelazne ogniwo
Czyn się nasz z myślą zespoli!
A wtedy — czysta natchniona
Wzleci ku niebu piosenka,
Życie wprowadzi do łona —
Bratnie się złączą plemiona
I nowa wzejdzie jutrzenka!

Jastrzębiec.

Rok 1900.

Jeśli spojrzymy na którykolwiek kalendarz, wydany na rok bieżący, zawierający kalendarium według nowego i starego stylu (z świętami gr. kat.) zauważymy zaraz na okładce, że rok 1900 jest rokiem „zwyczajnym“, jakkolwiek przywykliśmy do tego, że lata przez cztery podzielne, są latami przestępnemi, a rok 1900 jest właśnie przez cztery podzielnym. Wewnątrz zaś, począwszy od miesiąca Marca, znajdziemy różnicę między liczeniem czasu według kalendarza juliańskiego i gregoryańskiego, nie jak dotąd o 12, ale o 13 dni, a więc n. p. przy dacie 14-go marca według nowego stylu, będzie data 1-go marca według starego stylu.

Dla wyjaśnienia tych szczególnych osobliwości roku 1900 należy przypomnieć sobie główne zasady kalendarza, czyli system podziału czasu. Do tego podziału służą dwie jednostki naturalne, z których jednak mniejsza nie mieści się całkowitą ilość razy w drugiej. Pierwszą z tych jednostek jest obrót ziemi około swej osi, czyli doba, podzielona na 24 godziny; drugą — obieg ziemi na około słońca, czyli rok, równający się dokładnie 365 dniom (dobom), 5 godzinom, 48 minutom i 45 sekundom. Ta ułamkowa liczba dni w roku stanowi trudność uregulowania kalendarza. Jeżeli przyjmiemy dla roku 365 dni, będzie to za mało blizko o 6 godzin. Na tę okoliczność zwrócono już uwagę za Juliusza Cezara, kiedy przyjęto za długość roku przybliżoną liczbę $365^1/_4$ dnia. Za zasadę też kalendarza Juliańskiego przyjęto obliczać długość roku na 365 dni, a co cztery lata dodawać jeden dzień, czyli liczyć 366 dni.

Przyjmując jednak, jako okres roczny 365 dni i 6 godzin, popełniano także błąd, a mianowicie zamiast 5 godzin 48 minut 45 sekund przyjmowano 6 godzin, czyli o 11 minut 15 sekund za dużo. Skutkiem tego w ciągu mniej więcej 100 lat (dokładniej 128 lat) tworzy się cała doba za dużo, którą odrzucić wypada. Błąd ten spostrzeżono w r. 1582, za Papieża Grzegorza VIII, kiedy różnica początku roku ujawniła już 10 dni. Na mocy buli z dnia 24 lutego 1582 postanowiono błąd ten uregulować i wytrącić z października tego roku dni 10. Aby zaś uniknąć powtórzenia się błędu, postanowiono, że na 100 lat przestępnych jeden rok będzie zwyczajnym. — W tym celu Grzegorz VIII postanowił, że lata kończące wiek, nie będą przestępnemi, jeżeli ich setki nie dzielą się przez cztery. W ten sposób rok 1600 był przestępnym, 1700, 1800 i 1900 nie są przestępnemi, a dopiero rok 2000 będzie znów przestępnym. To jest podstawą kalendarza gregoryańskiego w przeciwstawieniu do dawnego kalendarza juliańskiego. Jak widać z powyższego, w kalendarzu pozostał jeszcze błąd: (zamiast co 100 lat przestępnych należałoby co 128 takich lat odrzucić jeden dzień, ale jest to już błąd nieznaczny. Kalendarz gregoryański przyjęto w dawnej Polsce 1586 roku.

Co się tyczy różnicy między kalendarzami, to wynika ona z poprzedniego. W r. 1582 wynosiła ona dni 10, rok 1600 nie powiększył jej (był w obydwóch kalendarzach przestępnym), lata 1700 i 1800 powiększyły jednak o 2 dni, ponownie liczono je w kalendarzu gregoryańskim jako zwyczajne, a w juliańskim jako przestępne. — Bieżący rok zwiększa różnicę do dni 13, czyli, że każdy pierwszy w kalendarzu juliańskim przypadać będzie na 14 w kalendarzu gregoryańskim.

Dla tego na okładkach kalendarzy tegorocznych figuruje napis „na rok zwyczajny“ i dla tego po lutym, liczącym podług nowego stylu 28 dni, a według starego 29 dni, 1-szy marzec tego ostatniego stylu przypada na nasz 14.

C. P.



Nowy Rok z kolebki wstaje.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“).

Podnieś czoło zadumane,
Nie patrz w siną dal zamgloną,
Niech ci żarem oko spłonie,
Niech oddechem wzbierze łono,
Sprostuj barki, wstań, skrzep ducha,
I do pracy wytęż siły. —
Nowy rok z kolebki wstaje,
Stary schodzi do mogiły...
W gruz i proch się zwalił cały,
Wiatr go wiekiem rozwiał wszystek,
Dzień po dniu w otchłani czasów,
Jak przedarty fruwa świstek,
Nie ułowisz dni minionych,
Co się marnie rozproszyły —
Nowy rok z kolebki wstaje,
Stary schodzi do mogiły...
Złóż z nim bóle i zawody,
I tę łzę coć w oku świeci,
Nowy rok jak bluszcz się wije,
Na ruinach znów stuleci,
Świeżem życiem się zieleni,
Światu niesie uśmiech miły —
Nowy Rok z kolebki wstaje,
Stary schodzi do mogiły...
Stań nowego witać pana
W pracowników dzielnych kole,
Kochaj, wierz i pracuj dalej,
A krzyż święty zrób na czole,
By do nowych trudów jutra,
Bóg ci dzisiaj wzmocnił siły —
Nowy rok z kolebki wstaje,
Stary schodzi do mogiły! *I. T.*

NOWY ROK.

O! roku stary!
Twoich przeznaczeń kres już dobiega
Z mogiły brzega,
Jak młody zwiastun nowego bytu
Z popiołów warstwy perłowo-szarej,
Twój syn, jak Feniks, tak się odrodzi...
Już słońce wschodzi...

* * *

Jakżeś piękny, roku młody!
Nimb u czoła
I duchowej blask pogody
W taki urok stroją ciebie,
Jak anioła,
Co w błękitnem buja niebie.

I kto spojrzy w twe oblicze
W blask źrenicy,
Jakieś szczęście tajemnicze
W odmłodzonem drgnie mu łonie
Chłód krynicy
Orzeźwiony w siebie wchłonie...

Ty nauczysz nas twej wiary
I natchnienia,
Nowych haseł nieść sztandary,
Jak zamieniać srebrno-złote
W czyn marzenia
I jak koić dusz tęsknotę...

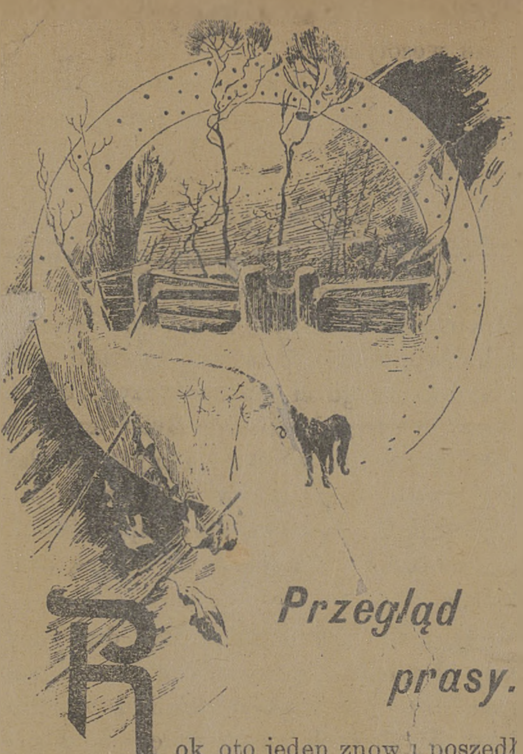
Ty nam śpiewasz: kto mych pieśni
Dźwięk dochowa,
Smutek życia cały prześni
I życiowych chłód zawiei,
Bo zrodzone są z nadziei
Śpiew i słowa...

* * *

Lecz jeżeli wzrok twój kłamie,
I w tej nowej życia bramie
Czycha nędzny wróg?

. . . .

Mila Smochowska.



Przegląd prasy.

Rok oto jeden znowu poszedł — *ad acta.*

Mimowoli myśl biegnie ku ważniejszym wypadkom ubiegłego roku, lecz prześlizguje się po gładkiej powierzchni dziennikarskich kronik i nie znajduje prawie nic prócz zwykłej szarzyzny życiowej... Jak w roku przeszłym i zaprzeszłym i jeszcze dawniej — powtarza się wiecznie ta sama zwrotka: „stoimy w przededniu poważnych wypadków“...

Z niechęcią odkładam na bok pliki tych nic nie mówiących kronik z ubiegłego roku i biorę się do przeglądania spraw bieżących. „Wojna Anglików z Boerami“, „Obstrukcya Czechów w Austryi“, „Pomnożenie floty w Niemczech“. I tu nic nowego. Dopóki młyn dziennikarski nie zmele na nic jakiejkolwiek kwestyi, dopóty nie schodzi ona z porządku dziennego. I będzie tak z pewnością długo — bo, właściwie mówiąc, prasa zawsze o jednych i tych samych tematach rozprawiać może. Jest pewna liczba tematów, „nadających“ się do omawiania, są inne, o których się pisze tylko drobnym druczkiem, są wreszcie takie, o których się nie pisze.

Więc niechajże kronikarzowi Waszemu wolno będzie przynajmniej raz jeden w ten dzień Nowego Roku pogadać trochę o prasie, nie trzymając się cytat.

Znalazłem oto w kilku gazetach wiązankę wiadomości. Sprobójmy ułożyć z nich gazetę sami.

Maleńkim, drobnym drukiem zapisano pod wiadomościami z prowincyi:

„Ludzie, przechodzący szosą około stodoły p. N. N., znaleźli wczoraj rano nawpół zasypaną śniegiem i zupełnie zmarzniętą jakąś nieznaną kobiecinę, licho odzianą“.

Z tej drobnej wiadomości zrobiłbym artykuł wstępny. Napisałbym o nędzy, która tak często i tak bardzo gnębi ludzi, że przestajemy na to zwracać uwagę; napisałbym o tęsknocie, która jest w sercu ludzkiem nieraz silniejszą od obawy śmierci i przez śnieżne zaspy każe brnąć z oddali do domowego ogniska. I zakończył bym uwagą, że każdemu człowiekowi znanem jest uczucie tęsknoty jakby za jakimś dawno opuszczonym krajem, w którym niema śmierci i zawiei śnieżnej, gdzie duch nie szamoce się jak biedna ptaszyna spętana w więzach, gdzie blask słońca wieczny nie oświeca nędzy i nieszczęścia, lecz spokój i szczęście.

I dodałbym w końcu, że we wzajemnej ewangelicznej miłości bliźniego mogą ludzie odnaleść choć rąbek tego szczęśliwego świata, z którego pochodzimy wszyscy, a który przeczuwamy tylko, nie znając go...

Lecz idźmy dalej. Jedno z pism rozpisuje się w artykule na trzech stronach o wojnie Anglików z Boerami. Opisana walka pod Colenso, przegrana generała Bullera, wzięcie do niewoli tysiąca Anglików z dwudziestoma armatami, a wreszcie zakończenie:

„Wobec tych przegranych nasuwa się myśl, że „Wielka likwidacya“, o której mówił Bülow“ w parlamencie niemieckim — będzie może likwidacyą dumnego Albionu. I wszyskie mocarstwa czekają, przyczaiwszy się, co będzie dalej“.

A teraz pytanie: co by można o tej sprawie napisać. Nasuwa mi się jedno. Oto w żadnem piśmie nie napotkałem otwarcie wypowiedzianego zdania, co jest właściwym powodem wojny Anglików z Boerami. A jest to poprostu — złoto. Chodzi o zdobycie kopalni złota, które trzymają w swem posiadaniu Boerowie. Bardziej bez maski, bezczelniej, nie wypowiedziała się w obliczu ludzkości chyba żadna wojna. Dawniej walczono w obronie wolności, dla sławy, dla jakiejś idei — dziś walczy się dla złota. I jak szyderstwo brzmi przytem hasło skierowane tak często do ludów Europy, że mają stanąć z bronią w ręku w obronie najświętszych swych ideałów — i zgodzić się na powiększenie armii i floty. Ha, ha, ha! ładne ideały, piękny zapał, co krew ludzką z pod serca wydobytą waży na uncye złota i spoglądając jednem okiem na worki ze złotem, a drugiem — na trupy nurzające się we krwi własnej, woła, wskazując na trupy: musi *tych* być więcej, aby *tych* — patrząc na worki złota — więcej być mogło. Uwagi takie, w formie przeglądu politycznego o wojnie transwaalskiej i powiększeniu marynarki niemieckiej streściłbym w nagłówku „Hańba współczesnej kultury“.

Lecz idźmy dalej. Donosi jedna z prowincyonalnych gazetek co następuje:

Zamieszkały niegdyś w naszej wiosce Franciszek L. przed trzema laty wywędrował do Niemiec. Rodzice jego, nie mając o nim wiadomości, sądzili, że już nie żyje. Jakież było ich zdumienie, gdy na święta dostali od syna list wraz z 500 markami, które przeznaczone były na spłatę długu, ciężącego na ich roli. Właśnie po Nowym Roku odbyć się miała licytacya ich gruntu wraz z domkiem, z powodu nieopłacanych oddawna procentów“.

Wiadomość ta przypomina mi spostrzeżenie jednego z zamieszkałych oddawna na obczyźnie Polaków, który stwierdził, że pobyt wśród obcych nieraz jest prawdziwą szkołą miłości ojczystej ziemi. — Sucha dziennikarska notatka o synu, który z obczyzny dał znak życia o sobie krajowi, ratując kawał zagrożonego gruntu, nie mówi o tem, co ten człowiek wśród obcych przeżył i przecierpiał. A przeżył on niejeden dzień pokusy, gdy mu świat cały, świat obcy uśmiechał się, aby wyłudzić ciężko zaoszczędzony grosz, a on — prawdziwy bohater — poszedł za głosem serca, który mu mówił o ojczystych stronach, o starych rodzicach, o kawałku ziemi, który trzeba ratować od rąk obcych, o smętnej skardze, którą kraj ten na marnotrawne swe dzieci zanosi.

I wytrwał, wytrwał — i uratował kawał ojczystej ziemi. Nauczył się tam — wśród obcych — kochać ją, jak matkę i być dobrym jej synem.

Napisałbym i o tem artykuł, bo jest dużo wśród nas takich, co do nich by się stosował ten artykuł. Napisałbym serdecznie i rzewnie, bo innej nagrody prócz poczucia spełnionego obowiązku i zrozumienia dusz bratnich, ci ludzie mieć nie będą. Dałbym tytuł temu artykułowi: „Nadzieja przyszłości“ — a w tej nadziei zamknąłbym wszystkie dążenia, wszystkie marzenia, całą tęsknicę biednego naszego narodu — do lepszych czasów. — Napisałbym to wszystko — i może że uczynię to jeszcze, lecz — innym razem.

B. M.

Gabryeli Zapolskiej

autorce „Sybiru“.

Brzęczą kajdany — słychać niewiast jęki —
Kwilenie dziatek tłumi knut żołdaka,
I krew męczonych spływa w śnieżną ziemię,
Tę uświęconą Golgotę Polaka!...

Pijanej dziczy rozlega się wrzawa,
Czerń niewolników wśród trupów szaleje —
Tu wieczna rozpacz — mrok piekielnej kuźni —
Czyż dla tych krain zamarły nadzieje?

I gdy wolności zabłysną pożary,
Anioł pokoju wstąpi w kazamaty
I na tej ziemi błyśnie dzień swobody,
Aż zadrżą przed nią krwią zbryzgane katy!

Spadła zasłona! Tętnią serca żywo,
Bo brzmi pieśń święta: „Jeszcze nie zginęła“!
Cześć Ci, o, Polko! szepcą widzów usta,
Cześć Ci, o, Polko! za Twe wielkie dzieła.

S. P.

Głosy od przyjaciół.

Kochana nasza „Praco“!

Zebrało się nas oto na Święta kilkunastu młodzieży, ożywionej, dzięki Tobie, duchem prawdziwie polskim i patryotycznym i umyśliliśmy w jaki sposób należałoby nam, jako wiernym przyjaciołom „Pracy“ początek nowego roku zaznaczyć czynem, odpowiadającym naszym przekonaniom. I oto założyliśmy Kółko, które się zbierać będzie co tydzień. Na porządku dziennym będzie dyskusya o tem, cośmy w świeżym numerze „Pracy“ przeczytali. Artykuły ważniejsze odczytywać będziemy wspólnie, również i niektóre wiersze. Jużeśmy mieli jedno posiedzenie i zyskaliśmy do naszego grona dwóch młodych ludzi, którzy z polskiemi gazetami rzadko kiedy się spotykają. Byli zachwyceni tem, jak w sposób miły i pożyteczny wypełnić można sobie wieczór rozmową o sprawach społecznych. Jesteśmy pewni, że w ten sposób powoli uda nam się całą młodzież polską naszego miasteczka, zachęcić do zajmowania się sprawami publicznemi i do urobienia sobie o wszystkiem samodzielnego zdania, jak to obywatelom Polakom przystało. Jesteśmy bowiem my młodzi przecież nadzieją ojczyzny i zapominać nam o tem nie wolno. Chcemy oprócz pracy zyskać i zdobyć sobie jakąś spojnię ducha z tymi wszystkimi naszymi przodkami, którzy za Polskę w krwawym pocie pracowali. Wypadki ostatnich stu lat niestety przerwały rozwój społeczny naszego społeczeństwa i naszemu mieszczaństwu nie dały rozwinąć się na gruncie tych tradycyi i tej oświaty mieszczańskiej, jaka kwitła wśród mieszczan polskich pod koniec zeszłego wieku, kiedy to „mieszczaninem“ był Małachowski, a miasta tak mądre i obywatelskim duchem przesiąkłe instrukcye swym wysłańcom na sejm dawały.

Nasze mieszczaństwo dzisiajsze wyrosło jakby bez gruntu, to też do nas, do młodzieży mieszczańskiej należy szczerze zabrać się do pracy, zapoznać się z literaturą polską, z historyą społecznego rozwoju Polski i z jej potrzebami obecnemi, aby dom mieszczański polski stać się znów kiedyś mógł ogniskiem politycznego i duchowego życia i wolnej myśli polskiej.

W tym więc celu, aby stale pracować nad sobą, aby wcielić w życie te piękne rady kochanej naszej „Pracy“ — zawiązaliśmy Kółko i o pierwszych jego krokach zawiadamiamy redakcyą.

Franciszek M-ski — (kilka podpisów).

Niechajby i młodzież w innych miasteczkach poszła za przykładem tej młodzieży a rok nowy, dziś rozpoczęty, piękne by rokował nadzieje dla sprawy naszej.

Redakcya „Pracy“.

* * *

Szanowna Redakcyo!

W dzień Nowego Roku redakcya odbiera zapewne zewsząd tyle życzeń, że list mój mógłby może minąć niespostrzeżenie wśród ciżby innych. Więc piszę tydzień wcześniej, a piszę ten list dlatego, że po raz pierwszy zdarza mi się, abym prosił o umieszczenie moich słów w druku. Jestem czytelnikiem „Pracy“ nie od dawna, bo dopiero od 1 lipca — alem to pismo tak serdecznie ukochał, jakbym od samego początku zżył się z niem.

Dlatego też na Nowy rok piszę do „Pracy“, jak do mego przyjaciela, bo wiem, że każde słowo czytelnika w tej redakcyi znajdzie chętne uwzględnienie. Piszę więc, życząc naszej „Pracy“, aby na przyszły rok drugie dziesięć tysięcy czytelników jej przybyło. A w tem życzeniu zamykam tylko moje życzenie dla sprawy. Co to bowiem znaczy zebrać nowych 10 tysięcy czytelników! Jaki to znojny zagon pracy, co to potu i co grosza wsiąknie w te dziesięć tysięcy, zanim się je zbierze, ziarnko po ziarnku, na pożytek wspólnej naszej sprawy! I ile to słusznej dumy mieć może człowiek, który tyle zdziałać potrafi! Jak wielkie to dzieło — zebranie tych nowych dziesięciu tysięcy! Więc chociaż życzę z serca tylu nowych czytelników, zarazem w imieniu chyba wszystkich czytelników zanoszę i drugie życzenie — a to mianowicie, aby „Praca“ nasza, choć jej wpływy podwoją się i potroją, pozostała zawsze tak samo serdeczną i przyjazną i oddaną każdemu swemu czytelnikowi z duszy serca, jak była dotychczas. Niech nad jej zagonem zawsze ta sama gwiazda przewodnia świeci — gwiazda cichej pracy i poświęcenia dla ogółu! W tym Nowym roku niechaj każde słowo, co z jej łamów padnie, pada na glebę urodzajną i plenną, niechaj tysiączne echo znajduje wśród serc! Tego życzę w ym dniu wesołym.

Wierny czytelnik
Mateusz Domagalski.

* * *

Kochana „Praco“!

Gdy rok się nowy rozpoczął, wypada mi Tobie wcześniej niż komu innemu powinszować. Rok temu, gdym brał do rąk Twój zeszyt, zdawało mi się: „już niewiele czego ci można życzyć, bo ci niewiele czego brakuje.“ Byłaś kochana „Praco“ obfitą w treść i myśl, miałaś już tysiące czytelników i to wiernych czytelników, cieszyłaś się sympatyą ogólną, wreszcie już miałaś swą własną drukarnią.

Dziś oto rok minął. Masz dwa razy tyle abonentów, wszyscy Cię chwalą, zeszyt Twój jest większy od kilku tygodników niemieckich razem wziętych, a jednak, kochana „Praco“, dużo Ci jeszcze, oj dużo brakuje. A raczej brakuje Ci mało, lub nic, jako pismu, ale brakuje Ci dużo, jako „Pracy“ tej, która dla kilku tysięcy jest już dziś wyobrażeniem walczącej sprawy naszej. Jam Cię nauczył się cenić „Praco“ jako przedstawicielkę sprawy, już nie jako pismo. Pismu się życzy w Nowy rok powodzenia — sprawie się życzy: *zwycięstwa* i tego też Ci i ja życzę. Życzę, aby jednego domu polskiego nie było, gdzieby „Praca“ nie zatknęła swej chorągwi na znak, że dom ten niedostępny jest dla germanizacyi. Życzę, aby nie było jednego pisma niemieckiego, któreby mogło z Tobą wytrzymać konkurencyą. Życzę, aby nie było tak skamieniałego i zobojętniałego serca, któreby nie zdołało rozgrzać słowami zachęty do pracy na glebie ojczystej pod narodowym sztandarem. Tego Ci życzę. Jest to więcej niż pismu życzyć można — ale też Ty dla nas jesteś nietylko pismem, ale jakby starszym bratem, który za rękę nas bierze, pokazuje przeszłość i przyszłość i każe jedną kochać a na drugą zapracować. Taka Ty jesteś dziś dla nas i jako takiej składam życzenia.

Stary czytelnik
Wład. Mor.

* * *

Berlin, Boże Narodzenie.

Droga kochana „Praco“!

Nadeszły oto święta, a wraz z nimi myśl o kraju, którego nie widziałem już kilkanaście lat. Niemając krewnych, nie pisałem też nawet już dawno do kraju, a że tutaj w Berlinie jestem samotnikiem i mało mam sposobności do styczności z ludźmi, więc nawet pewnie nikt mnie nie pamięta w okolicy, z której pochodzę. I byłbym i ja może potroszę zapomniał o tych stronach, co to dopiero podobno w godzinę śmierci żywo stają

przed oczyma, gdy się o nich nie pamięta za życia, — byłbym zapomniał może, gdyby nie to, że jeden z moich przyjaciół z Dortmundu przysłał mi numer „Pracy“ i polecił zapisać to pismo. A tak od owego czasu jakby dobry i zły duch wstąpił do mojego domu. Dobry — bo w sercu budzi miłe wspomnienia i dobre uczucia; zły — bo odbiera spokój, odganiając obojętność, budząc tęsknotę i chęć zobaczenia tych stron opuszczonych od dawna.

I tak żyję, zamykając w sobie te oba duchy, a w każdym numerze „Pracy“ odnajduję nową rozkosz, jakby list od swoich, których się już nigdy ujrzeć nie spodziewałem — i ciągłe szarpanie tęsknoty. Myślałem dużo o tych rzeczach podczas świąt i postanowiłem napisać do redakcyi. Napisać, jak do tego przyjaciela, co mi o kraju wieści donosi, a przytem zapytać go się: A wiesz Ty, jakie uczucia budzi w mej duszy niejedno słowo Twoje? Dzięki, stokrotne dzięki za to, żem dzięki Tobie, kochana „Praco“, odnalazł tu, na obczyźnie, podczas świąt takie same uczucia w sercu, jakie przepełniły moją duszę, gdym zasiadał przy stole rodzicielskim do wigilii jako wywyrostek, nie spodziewając się, że przeżywam najpiękniejsze dni pobytu mego w kraju. Czy ja też kiedy kraj tak naprawdę, na długo zobaczę?...

Pozdrowienie od brata z obczyzny

Fr. Niedz.

Z TYGODNIA.

Vaterland muss grösser sein! — oto hasło, brzmiące dziś rozgłośnie w kraju — armat i bagnetów!... Wracają czasy wikingów, owych północnych „władców morza,“ którzy na czele załóg okrętowych zdobywali lądy i zakładali państwa — i w tym nowożytnym okresie zaborów we wszystkich częściach świata, Germania chce grać rolę pierwszorzędną, nie dając się ubiedz innym narodom. Na morze więc, na Ocean! ciasno Niemcom w domu...

Czasy pokory minęły bezpowrotnie. Nie chcemy być wyrobnikami ludzkości! *Deutschland muss grösser sein!*

„Dla narodu 60-milionowego, rozszerzającego się na wszystkie strony, nie ma innego środka walki o byt, jak armia i flota. — W nowem stuleciu musimy być młotem, jeżeli nie chcemy być kowadłem...“ Tak mówił p. v. Bülow, i przewidzieć nietrudno, że Niemcy będą nadal owym młotem, jakim są od r. 1870, i że polityka „floty opancerzonej“ święcić — pragnie liczne jeszcze tryumfy...

Pamiętać wszakże trzeba, że największe młoty łamią się i kruszą... — czego najlepszym dowodem... łakoma Anglia!...

Klęska jen. Bullera, a raczej Anglików, nad rzeką Tugelą, która w danych warunkach politycznych, panujących nazwana być może katastrofą, nieszczęściem narodowem, zamyka sześciotygodniowy okres przygotowań jen. Bullera do wyrzucenia najeźdźców boerskich z angielskiego Natalu i oswobodzenia Ladysmithu. Należy więc znowu rzucić okiem wstecz na krótką historyę tego okresu, który budził tak wiele nadziei u Anglików, a tak srodze zawiódł.

W dniu 31-go października wylądował naczelny wódz Anglików w Afryce południowej, sir Redvers Buller w Kapsztadzie. Przyjechał on z gotowym planem, na który w kołach strategików europejskich oddawna wzruszano ramionami. Zamiast cały swój korpus rzucić na punkt strategicznie decydujący, a więc do Natalu, obmyślił akcyę zaczepną z olbrzymim frontem, z potrójnem oparciem się o morze w Kapsztadzie, Port Elisabeth i East-London. Aby uniknąć niebezpiecznych przesmyków pasma górskiego, dzielącego Natal od Transwaalu (gór Smoczych), zamierzał on w tej olbrzymiej linii frontowej posuwać się naprzód z południa dla zajęcia Bloemfonteinu i Pretoryi. Prawda, że na tem wielkiem płaskowzgórzu sir Redvers Buller miał więcej widoków rozwinięcia zalet taktycznych piechoty angielskiej, puszczenia w ruch mas kawaleryi i dokuczenia Boerom potężną swą artyleryą. W takim razie należało jednak pozostawić swoim losom jen. White'a w Ladysmicie. Ale jen. Buller wolał trzymać, jak mówi przysłowie ludowe, „dwie sroki za ogon“ i — wdepnął... Idzie tedy Buller w kąt, a na miejsce jego przychodzi Lord Roberts, pogromca Afgańczyków, zdobywca Birmy,“ i lord Kitchener, zdobywca Sudanu, poprawić ciężkie błędy sir Redversa Bullera i wskrzesić blask wojennej chwały angielskiej, owej chwały z pod Malplaquet i Waterloo, z pod Iakermanu i Bałakławy...

Tak przynajmniej sądzą w Londynie. Wątpliwościami nie psujmy humoru Anglikom, lecz przypatrzmy się lepiej naszej ukochanej Austryi...

Parlamentarna komisya Koła polskiego w Austryi odbyła w ubiegłą sobotę posiedzenie, na którem doszła do przekonania, że obecny rząd nie ma żadnych warunków do przeprowadzenia postulatów Koła polskiego. Podniesiono również, że Koło polskie nie może nawiązywać stosunków z radykalną większością stronnictw niemieckich, i gdyby się tak stało, Koło polskie nietylko znalazłoby się odosobnionem w parlamencie, ale i ściągnęłoby na siebie niechęć całej ludności polskiej. Te motywy skłoniły Koło do powzięcia następującej uchwały: „Koło polskie uważa, stosownie do swego programu politycznego, uchwalenie ustaw ugodowych i prowizoryum budżetowego za naglącą konieczność państwową i będzie się starało wszelkiemi siłami umożliwić ich parlamentarne załatwienie. Tą intencyą powodowane musi Koło przeciwdziałać akcyi klubu młodoczeskiego, spowodowanej postępowaniem dzisiejszego rządu, a odwlekającej załatwienie tych ustaw. Koło polskie dążąc w myśl swego programu politycznego, stwierdzonego wielokrotnemi uchwałami do uspokojenia parlamentu, uzdrowienia stosunków parlamentarnych i urzeczywistnienia swych zasad autonomicznych, wyraża przekonanie, że uzdrowienie życia konstytucyjnego, potrzebne dla rozwoju państwa i krajów poszczególnych, jako też zaspokojenia koniecznych potrzeb ludów pod względem ekonomicznym i społecznym są możliwemi wyłącznie z pomocą sojuszu stronnictw prawicy w porozumieniu z umiarkowanymi żywiołami izby, stojącymi poza związkiem prawicy.“

Uchwała ta dowodzi, że prawica istnieje i Polacy nie opuścili dotychczasowych sprzymierzeńców. Prasa liberalna lewicy zaopatruje ją w niesłychanie złośliwe komentarze. Zwłaszcza krytyka rządu boli tę prasę bardzo dotkliwie.

Dr. Biliński był na posłuchaniu u korony i zupełnie otwarcie przedstawił błędy popełnione przez hr. Clary'ego, obecne skutkiem tego położenie parlamentarne, widoki załatwienia ustaw ugodowych i stanowisko Koła Polskiego.

„N. W. Tageblat“ donosi, że nowy gabinet będzie czysto urzędniczym i także żadną miarą nie odpowie życzeniom Czechów. Gabinet nowy będzie także tylko prowizorycznym i tej samej barwy, co hr. Clary'ego.

Niech więc nowy gabinet ma Austryą w opiece — my tymczasem pospieszymy do — Turcyi, by zobaczyć co się i tam dzieje.... Biedny sułtan! rodzony szwagier jego czmychnął przed samą wilią, nie czekając wcale gwiazdki...

Turek...

O ucieczce tej, która wywołuje sensacyę nietylko nad Bosforem, donoszą ze Stambułu: Damad Mahmud pasza uciekł ze stolicy w towarzystwie dwóch swoich synów, sekretarza i publicysty Humi Danisza. Na żądanie, wysłane przez sułtana Abdul Hamida do Paryża, rząd francuzki pozwolił na zrewidowanie w Dardanelach pewnego parowca francuskiego, na którym mieli znajdować się zbiegowie. Rewizya ta pozostała

bez rezultatu, podobnie jak rewizye wszystkich pociągów kolejowych na stacyach pogranicznych. Późniejsze wiadomości podają, że podobno udało się władzom tureckim schwytać zbiegów na jednym ze statków francuskich.

Przyczyną ucieczki nie jest udział w ruchu młodotureckim, lecz — łapówka. Minister spraw zagranicznych otrzymał od sułtana rozkaz telegraficznego polecenia wszystkim ambasadom i poselstwom tureckim, ażeby wszelkiemi środkami starały się o odkrycie miejsca pobytu Mahmuda paszy.

Z Berlina donoszą: Ucieczka szwagra sułtańskiego Mahmuda paszy za granicę odsłania niesłychaną korupcyę, panującą na dworze sułtańskim. Mahmud pasza był agentem Anglików, którzy się starali o koncesyę na kolej do Bagdadu i brał od nich wysokie porękawiczne. Gdy koncesyę otrzymali Niemcy, Anglicy zagrozili Mahmudowi skandalicznemi odkryciami, skutkiem czego tenże, obawiając się gniewu sułtana — drapnął.... Zachodzi teraz pytanie, dokąd ten „turecki święty" czmychnął? Niezawodnie, że do Francyi, zwiedzić wystawę paryską, i pokazać się tam za pieniądze angielskie.

Niema to, jak Francya, wobec której Ameryka już prawie nic nieznaczy...

Tu we Francyi możesz wyzwać prokuratora na wszystkie boki, to jeszcze senatorem cię zrobią; naturalnie, jeżeli jesteś godny zaufania, jak naprzykład — Dreyfus...

Bądź co bądź Francya jest krajem geniuszów, w każdym razie ludzi śmiałych pomysłów. Z Paryża donoszą o śmiałym projekcie, podniesionym świeżo przez inżyniera tamtejszego, Jana Berliera. Zamierza on połączyć Europę z Afryką podmorskim i oczywista podziemnym tunelem, którego szyny kolejowe miałyby zbliżyć do siebie Hiszpanię i Marokko. Zresztą nietylko o te dwa kraje chodzi. Niemniej wielkie zainteresowanie budzi pomysł Berliera we Francyi... Gdyby się powiodło go urzeczywistnić, miałoby to dla Francuzów ze względu na ich afrykańskie kolonie doniosłość wprost nieocenioną. Śmiały inżynier stara się obecnie zjednać dla pomysłu swego rządy państw bezpośrednio interesowanych, i nie traci nadziei pokonania wszelkich trudności. „Jeśli tylko dyplomacya — pisze Berlier w „Tempsie" — nie stawi mi większych przeszkód, niż przyroda." A no — wszelkiego powodzenia... jednakowoż nietylko pomysłowemu inżynierowi, lecz jak przy Nowym Roku — powodzenia i wszystkim czytelnikom „Pracy"!

K. O.

Bogactwo narodów.



Francya. Anglia. Włochy. Ameryka. Austrya. Belgia. Holandya. Niemcy. Węgry.

Naród posiada bogactwo, składające się z majątków pojedyńczych osób oraz własności publicznej; zależy ono zatem od liczby ludności z jednej strony, od jej pracowitości i przedsiębiorczości z drugiej strony. Olbrzymie cyfry wcale nie przemawiają do wyobraźni; chcąc więc przedstawić stosunkową zamożność rozmaitych narodowości, najlepiej uciec się do metody graficznej. Wprawdzie sposób ten nie jest zupełnie ścisłym; z pozoru zdaje się prostą rzeczą ocenienie wartości terytoryum, zajmowanego przez dany naród, znajdujących się na nim nieruchomości, ruchomości towarów i wogóle kapitałów, których będąca w obiegu gotówka stanowi nieznaczną część; jednakże z pewnymi błędami, wynoszącymi czasem miliardy, można otrzymać dane do porównań. Weźmy naprzód bogatą Francyę i rozpatrzmy jej bogactwo, nie biorąc naturalnie pod uwagę jej długów wewnętrznych, czyli tego, co jeden Francuz jest winien drugiemu. Podług znanego ekonomisty Foville'a, majątek narodowy Francuzów dosięga imponującej liczby 225 miliardów franków, z czego 65 miliardów przypada na ruchomości, a 50 na nieruchomości jako to: domy i fabryki. Tak więc przeciętny Francuz posiada około 5850 franków kapitału. Ażeby otrzymać jak najwidoczniejsze porównanie, będziemy wyobrażali narody pod postacią ludzi o wzroście proporcyonalnym do liczby ludności i każemy im dźwigać kieskę proporcyonalną do bogactwa narodowego. Przejdźmy teraz do Wielkiej Brytanii, której mieszkańcy są obdarzeni w wysokim stopniu umysłem zdolnym do inicyatywy. Bez wahania można utrzymywać, że Anglia jest krainą najbogatszą w całym świecie. Podług Roberta Griffen'a, majątek Anglii wynosi 270 miliardów franków, w czem jakieś 90 miliardów przypada na bogactwo nieruchome, a ze 30 miliardów stanowi dochód z pracy narodu angielskiego. Średnio zatem poddany królowej Wiktoryi posiada teoretycznie 6850 franków kapitału. Zajmijmy się z kolei Stanami Zjednoczonymi, które są reprezentowane na rysunku przez największą postać. Tam, w zasadzie przynajmniej, można łatwo znaleźć dane, które szukamy, ponieważ co 10 lat robią census, t. j. wierne ocenienie bogactwa kraju. Podług tych statystycznych danych, bogactwo narodowe w r. 1850 nie przenosiło 36 miliardów, dzisiaj zaś przewyższa 350 miliardów, a może nawet sięga 400 miliardów.; na głowę przypada więc przyzwoita kwota 5000 franków. Dla Niemiec brak ścisłych, wiarogodnych cyfr. — Przyjmijmy jednak z Mulhalem, że naród ten posiada około 180 miliardów, co wynosi około 3 tysięcy franków na osobę. Zróbmy krótki przegląd innych narodowości, n. p.: Belgia ma około 40 miliardów, Holandya 22 miliardy, ale ludność znacznie mniejsza; Węgry posiadają tylko 23 miliardy, co jest bardzo mało; na Austryę przypada około 75 miliardów, na Włochy zaś, umieszczone po lewej stronie Stanów, zaledwie 50 miliardów. Na rysunku narodowości są wyobrażone w następującym porządku: Francuz, Anglik, Włoch, Amerykanin, Austryak, Belg, Holender, Niemiec i Węgier. Z powodu zupełnego braku danych statystycznych, nie umieszczono tutaj Rosyi.

T.

Wczesne przymrozki.

(Spóźnione).



Dla nawału materyału musieliśmy powyższy artykuł odłożyć, podajemy go jednakowoż dzisiaj, bo rzecz napisana przez jednego z naszych Szanownych Obywateli — wysoce zasługuje na umieszczenie ze względu na piękne myśli i wykwintną formę. Przyp. Red. „Pracy".

Srogie nie lada płata nam mróz tegoroczny.

Wcześniej, niż zwykle, wysłała zima swych posłańców, aby oznajmili zbliżanie się jej zimowego podmuchu, pod którego tchnieniem pada martwe lub w sen głęboki zapada na miesiące zimowe to wszystko, co swą barwą, swą rozkoszną wonią, swym wdziękiem jesiennego kolorytu wabiło oko. Wczesne mrozy! Biegną one jak szybkoskrzydlate zwiastuny wichrów i zamieci śnieżnych, biegną po całym kraju, a czego się dotkną, to jak pod różdżką czarodziejską, traci powab, kolor, pokrywa się szronem, żegna się z życiem. Gdy wschodzące słońce spogląda na rolę, widzi, że bezsilne już są jego promienie i straciły ożywczą siłę, która niegdyś potrafiła pomagać roślinom do bujnego przekwitu. Dziś stoi wszystko co kwitnie — i rozkwita, jak skazane na śmierć rychłą, listki jeden po drugim opadają, gromadzą się w kupkach na ziemi, a wiatr, szeleszcząc niemi, melodye zimowe zawodzi... Wszystko się żegna z życiem — w oczekiwaniu białego całunu śniegu. Ogołocona ze zboża rola oczekuje, zda się, odpoczynku, i do snu się układa. Już zaczynają nad nią krążyć mgły i jakieś cienie bez życia.

Wcześnie, za wcześnie nadeszły mrozy, i warstwą lodu ścięły niejedną nadzieję, zawiodły niejedno oczekiwanie rolnika. Pod wpływem wczesnych, niespodzianych przymrozków zmarniał w ziemi niejeden owoc ciężkiej pracy. Ziemiopłody tu i owdzie jeszcze nie sprzątnięte, nie doczekały się schronienia pod dachem, zaskoczone wczesnym mrozem. I niejeden rolnik, którego zbiory w ten sposób zmniejszone zostały, z niemym wyrzutem spogląda na szron pokrywający ziemię i myśli, że oto jedno znów rozczarowanie więcej — oto jedna nadzieja znów się nie spełniła.

Jak czuł się bezbronnym wobec późnych przymrozków na wiosnę, tak samo bezbronnym jest wobec wczesnych mrozów zimowych i — jak wtedy, tak i teraz — musi upokorzyć się, bezsilny, wobec natury, przyjmując z jej ręki cięgi, jak przyjmował pieszczoty i powodzenie. Ale każdy, kto rolnikiem był, wie, że więcej tych upokorzeń, więcej tych cięgów, niż pieszczot zyskał w obcowaniu z ziemią-karmicielką. A jedna, — jednak, zapytujemy każdego, kto raz w swem życiu gospodarzył na swym kawałku ziemi, co raz swą ręką orał, siał i żął, — czynie chciałby do niej powrócić, jeźli los go od niej odtrącił? I dlatego też nie gniew, nie zniechęcenie, ale żal, serdeczny, głęboki żal ogarnia rolnika na widok zmarnowanych przez wczesny mróz tych zapasów, które, choć tkwiły w ziemi, za swoje je jednak już uważał. A tu mu nagle kaprys wczesnej zimy to wszystko znów odbiera...

Iluż to takich w naszym kraju znaleść się może, co swą ostatnią nadzieję pokładali w dobrym sprzęcie ziemopłodów? — A ilu to biedakom pomarzły zapasy przeznaczone na zimę?

Idą oto ciężkie, chłodne pochmurne dni, idą miesiące wśród których rolnik-gospodarz coraz to sięgać musi do zapasów nagromadzonych w lecie... Jakiż to bezmierny żal odbija się w oku patrzącego na zmarzły owoc swej pracy. A może zapasy zimowe nie wystarczą? A może nie będzie z czego wyżywić rodziny? Przyszedł mróz i wziął...

Przyszedł mróz, wziął te zapasy, wyziębił izby w ubogiem domostwie. Zwiększają się wydatki na opał, na światło, na wyżywienie rodziny... Co będzie, Boże, co będzie, jeśli ostra zima na długo ściśnie jak w kleszcze chlebonośne zagony i ciężkim zagrozi przednówkiem, myśli w duszy z obawą śmiertelną gospodarz.

Te wczesne mrozy, ta myśl o tylu biednych, którym one się wydają wyrokiem śmierci głodowej — a przynajmniej szeregiem ograniczań się i w tak skąpych wydatkach, — to wszystko nasunąć powinno poczucie obowiązku podania bliźnim dłoni pomocnej. Niedość jest polegać na pomocy zorganizowanej w towarzystwa dobroczynności. Należy samemu iść z pomocą tam, gdzie serce wyraźnie wskazuje, że pomoc potrzebna.

Te wczesne mrozy, ten początek zimowych miesięcy, wszakże to dla jednych pełna strasznych przeczuć groźba, to zapowiedź nędzy i walki z głodem, — dla innych zaś — to początek miłych, kochanych, ciepłych wieczorów, podczas których przy ognisku domowem zgromadzi się cała rodzina i życie rodzinne najpiękniejszym — bo najspokojniejszym — płynie biegiem. Więc niechaj że ci, co mają swe ciepłe, zaciszne ognisko domowe, co z woli losu mają środki po temu, aby bliźnim pomódz, — niechaj że niezapominają o tej wielkiej, wielkiej liczbie wydziedziczonych z dóbr doczesnych biedaków, dla których zima nie niesie w swem zanadrzu ani jednego ciepłego, wesołego wieczora, ani jednej chwili łagodnego spokoju, lecz same tylko porywy, samo rwanie się naprzód, pod prąd, wbrew niszczącej fali nędzy i głodu.

W naszem społeczeństwie więcej niż gdzieindziej znalazłoby się łez do otarcia; więcej niż gdzieindziej jest między nami tej obawy, czy się zdoła przetrwać zimę srogą na własnej roli... A może już niejeden widzi ruinę przed progiem, choć oburącz się trzyma tej ziemi naszej świętej, tej spuścizny po ojcach, tego prawdziwego narodowego skarbu!

Dłoń pomocna niejednemu by może w czasie tego ciężkiego do przetrwania zimowego okresu podana pomogła utrzymać się przy zakochanym zakątku — więc niech bogaci nie czekają, aż nędza w łachmanach zacznie pukać do ich drzwi prosząc o wsparcie i uratowanie od głodowej śmierci — niech raczej zawczasu spieszą z sąsiedzką pomocą bratu ziemianinowi; później, gdy wyzuty z ziemi, stanie przed progiem i prosić będzie o pomoc, później przysługa mu wyświadczona tylko jemu wyświadczoną zostaje, podczas gdy zasługą społeczną jest taka pomoc udzielona w chwili, gdy uratować można jeszcze choćby najmniejszy zakątek ziemi rodzinnej z rąk, co na nią zewsząd czyhają, gotowe, aby pochwycić i nie oddać. Z.

Obieżysastwem

zajmuje się „Germania" w kilku artykułach, wyświetlając ujemne i dodatnie strony tego ruchu robotniczego. Zapatrywania wyrażone przez autora dają się streścić dla nas w tem, że

1) pod względem ekonomicznym obieżysastwo powoduje brak sił roboczych dla rolnictwa na wschodzie i ciągły wzrost myta robotniczego,

2) pod względem religijnym i obyczajowym obieżysastwo często niszczy moralnie setki ludzi, a tylko

3) pod względem politycznym i narodowym w tym ruchu roboczym jest pewna korzyść dla germanizacyi.

Robotnicy bowiem Polacy, ruszający w głąb Niemiec dla zarobku, przyswajają sobie z biegiem czasu mowę niemiecką, chociaż początkowo tylko potoczną, a przez małżeństwa i stałe osiedlanie się na zachodzie zupełnie się wynaradawiają.

Statystyka za mało jeszcze daje wyjaśnień, w jakim stopniu ponosimy stratę przez wynaradawianie się jednostek polskich i odszczepieństwo od wiary ciągów na zachodzie Niemiec. To wszakże pewne, że niemały procent wychodźców naszych w Westfalii, w Saksonii, Hamburgu, a najwięcej może w Berlinie zatraca stopniowo narodowe poczucie, przy

wiązanie do wiary ojców i moralność. Są to uszczerbki poważne, których nie zrównoważą tak łatwo korzyści materyalne.

Ale wychodźtwo jest ruchem ekonomicznym, ruchem chleba i pracy, którego powstrzymać nie można i nie będzie można tak długo, dopóki płaca robocza w głębi Niemiec i w dzielnicach naszych nie będzie równą. A ponieważ takie wyrównanie nie rychło nastąpi, przeto nie sztucznem hamowaniem tego ruchu, ale innemi środkami działać trzeba, ażeby narodowość nasza jak najmniej strat ponosiła.

Z wszystkich zaś środków dwa są najskuteczniejsze, t. j. stowarzyszenie się wychodźców i prasa, podtrzymująca narodowego ducha a ożywiająca przywiązanie do wiary ojczystej. Każde słowo, każda myśl, osłabiająca te dwa czynniki, wiążące naszych wychodźców z braćmi w ojczystych stronach, jest i będzie ujemną i potępienia godną.

O wartości moralnej każdego Polaka stanowi w wysokim stopniu wierność, jaką dochowuje swej narodowości. Im większą będzie tej wierności siła, tym śmielej będziemy mogli patrzeć w przyszłość.

Doszło do tego, że prawie cała prasa niemiecko-katolicka, która niegdyś dość sympatycznie usposobioną była dla polskości, dziś z radością spogląda na proces wynaradawiania się naszych rodaków. Czyni to i „Germania“ katolicka w swoich artykułach o naszych obieżysasach. Uważa za „korzyść polityczną i narodowościową“, gdy z pośród wychodźców polskich w Westfalii, Saksonii i t. d. wielu zatraca swój narodowy pierwiastek.

My pragniemy, aby przyczyny do takich radości nie było wcale i dla tego wołamy do naszych braci, idących za chlebem w głąb Niemiec: „szanujcie narodowość swoją!“

A jeśli mimo tego rodzaju nawoływań dzienników naszych jednak jeszcze pewne osobniki odrywać się będą od macierzy, to już chyba będą to tak słabe charakterem istoty, że narodowość polska przez ich odszczepieństwo nie wiele straci, a Niemcy nie wiele zyskają. Oby takich było jak najmniej! *G.*

Akademicy krakowscy w Pradze.

Zgon Smolki odwrócił uwagę ogólną od manifestacyi słowiańskich, których przedmiotem stał się w Czechach krakowski chór akademicki. Podajemy opis tej wycieczki.

Gdy chór przybył do Przerowa, na stacyi kolei oczekiwała nań liczna publiczność z burmistrzem i prezesami towarzystw miejscowych na czele. W Pardubicach przyjęcie było wspaniałe. Kapela „Sokoła“ grała polskie pieśni. Panie zasypały chór polski kwiatami. Ztąd ruszył pociąg do Kolina. Miasto było uiluminowane, a na okolicznych wzgórzach płonęły ognie. I tu publiczność zgromadziła się tłumnie, a panie obrzuciły kwiatami akademików. W Pradze, mimo słoty, na dworcu i na ulicy Hawliczka studenci czescy w tysiącznym orszaku oczekiwali przybycia polskich kolegów. Gdy pociąg stanął na dworcu, zagrzmiały okrzyki: „Na zdar“!, poczem redaktor Hovorka powitał gości przemową, którą zakończył: „Niech żyje młodzież polska, niech żyje naród polski! oby wzajemna zgoda przyniosła obu narodom pożytek!“ Poseł Horzica przemówił imieniem posłów czeskich.

Postępując krok za krokiem, akademicy polscy dostali się do powozów, które zawiozły ich do hotelu. W teatrze dano na ich cześć przedstawienie, po którem odbył się komers, przeplatany toastami.

W d. 3 grudnia zwiedziła młodzież polska, pod przewodnictwem radcy Tonnera, pamiątki miasta, poczem zebrała się w sali rady miejskiej, gdzie powitał przybyłych burmistrz miasta dr. Podlipny i członkowie rady miejskiej. Następnie zwiedzili goście kaplicę św. Wacława w gmachu rady, poczem zasiedli z przedstawicielami miasta do śniadania, przy którem dr. Podlipny przemówił serdecznie, kończąc słowami: „Niedawno przedstawiciele królewskiego miasta Pragi spieszyli do sławnego miasta pamiątek Krakowa, aby złożyć hołd wielkiemu piewcy i poecie Adamowi Mickiewiczowi. A tam przyjęcie naszych przedstawicieli było takie, że nigdy nie wygasną te chwile w naszej pamięci, a my, odwzajemniając się wam w tej chwili, chcemy wam dowieść, że bije w naszych piersiach serce słowiańskie, które ma uczucia wdzięczności i braterstwa. Pozwólcie, że wzniesiemy nasz puhar na cześć miasta Krakowa, na cześć całego bratniego narodu. Oby te węzły, które nas łączą, utrwaliły się dla waszej i naszej przyszłości. „Na zdar!“ „Czołem!“

Prezes chóru, p. Zawiłowski, wzniósł toast na cześć narodu czeskiego, miasta Pragi i rady miejskiej.

Wieczorem, podczas przedstawienia w teatrze, powitał gości w loży królewskiej dyrektor Szubert, a na jego przemówienie odpowiedział p. Zawiłowski, wyrażając cześć dla narodu, który z centowych składek zbudował sobie przybytek sztuki, świecący jasno jako wyraz słowiańskiej idei.

Kulminacyjnym punktem było przyjęcie w „Mieszczańskiej Besedzie“. U wejścia do gmachu przywitał gości wydział „Besedy“ z prezesem Trebą na czele, który przemówił:

„Synowie polskiego narodu zawitali do Pragi, aby się z nami bliżej poznać, aby nam zaśpiewać swoje prześliczne pieśni w przemiłym polskim języku. Jako przewodniczący mieszczańskiej „Besedy“, witam was, drodzy goście polscy, wołając z całego serca na cześć rycerskiego narodu polskiego: „Sława!“

Przy uczcie, do której zasiadło obok gości wielu wybitnych przedstawicieli świata politycznego, literackiego i artystycznego miasta Pragi, panował podniosły nastrój.

Akad. Tuszyński wzniósł toast na cześć „Mieszczańskiej Besedy.“ P. Zawiłowski powiedział: „Stojąc na waszej ziemi, chcieliśmy dać dowód, że młodzież polska współczuje z czeskim narodem, że serce nasze bije dla wspólnej naszej idei, idei słowiańskiej. Młodzież galicyjska nie miała może dotychczas sposobności wyraźnie tego zaznaczyć, ale oto dziś stoimy przed wami i ślubujemy, że ze wszystkich sił pracować będziemy nad urzeczywistnieniem słowiańskich idei. Niech żyje jedność słowiańska!“

Imieniem młodzieży południowo-słowiańskiej przemawiał Chorwat Janeczek. Na zakończenie wzniósł toast „kochajmy się“ redaktor Hovorka. Potem chór akademicki odśpiewał kilkanaście pieśni. Śpiewały także chóry studentów czeskich.

Był to dzień i wieczór uroczysty. Cała Praga starała się dowieść serdecznej sympatyi dla swoich młodych gości.

R.

Do Rzymu.

W bieżącym roku „miłościwego lata,“ jak ojcowie nazywali jubileusze, wybiera się do Rzymu polska pielgrzymka dla podziękowania Ojcu św. w imieniu naszego narodu za poświęcenie świata N. Sercu Jezusowemu i odnowienie ścisłych węzłów, które Polskę łączą ze Stolicą Apostolską, jedyną obronicielką uciśnionych i pokrzywdzonych.

Przewodnikiem pielgrzymki na życzenie księcia Biskupa krakowskiego będzie zacny i zasłużony kapłan i znany autor, ks. prałat dr. Wincenty Smoczyński, dziekan i proboszcz w Tęczynku pod Krzeszowicami, w pobliżu Krakowa, który już kilkakrotnie wiódł pątników polskich do Wiecznego Miasta, a jest autorem obszernego „Przewodnika po Rzymie,“ oraz „Wspomnień o pielgrzymce polskiej z r. 1888,“ książki, która obejmuje właściwe zestawienie najróżnorodniejszych wiadomości o stosunkach naszych z Włochami i Rzymem. Przed kilku laty reprezentował ks. prałat Smoczyński Polskę na kongresie antiwolnomularskim w Trydencie, gdzie przema-

wiał w języku włoskim. Nie ma wątpliwości, że i z Wielkopolski niejeden pątnik przyłączy się do drużyny ks. prałata Smoczyńskiego, który między naszem duchowieństwem liczy wielu przyjaciół i wielbicieli. Dla załatwienia przedwstępnych kroków o umieszczenie pielgrzymów, wyjeżdża ks. prałat w tych dniach do Rzymu. *G.*



Franciszkowi Smolce.

Na piersi nie błyszczą ordery,
Ubiera Go czarna kapota,
Żegna Go ogólny żal szczery,
Bo zgasł prawdziwy patryota.

Brak szumnych tytułów na karcie,
Tem większą powszechna jest strata,
Jak wódz stał przez życie na warcie
Jedyny szczery patryota!

Za Polskę On dźwigał okowy,
I za Nią szedł pod szubienicę,
Lecz dumnej nie ugiął swej głowy,
Przed śmiercią nie zbladło Mu lice.

Ani strach, ani też zaszczyty
Z wytycznej nie ściągły Go drogi,
Dziś pracy i życia jest syty,
Zmarł rycerz bez zmazy i trwogi.

Nad trumną więc płaczą rodacy,
I obcy w proch biją Mu czołem,
Boć wzorem był prawdy i pracy,
Szczerej wolności Apostołem!

Jak kopiec przez Ciebie sypany
Pod niebios aż sięga obłoki,
Tak żal nasz, Mężu ukochany,
Jest wielki, szczery i głęboki.

Jak kopiec lśni zdala i zblizka,
Jako znak trzech ludów łączności,
Tak i blask Twojego nazwiska,
Przyświecać będzie Potomności.

Po latach więc walki i znoju,
Coś prawdą zwyciężał złych wszędzie,
Śnij w błogiej ciszy i spokoju,
Niech ziemia... lekką Ci będzie!

Gordziewicz.

Pogadanka sylwestrowa.

Hola... stój!...

Lecz Rok-staruszek nie czeka — czmycha...

Jakoś mu bardzo pilno — choć zawieja tnie śniegiem w oczy. — O dwa kroki przechodniów rozpoznać nie można. Gdyby jegomość rok stary i młodzieniaszek rok nowy, ująwszy się pod ręce, jak to jest ich zwyczajem w noc Sylwestrową, zaprezentowali się światu z odległości pięciu kroków, zapewne by przez pomyłkę wszystkie komplementy i życzenia dostały się staruszkowi, a szturchańce, obojętność lub skargi — młodzieniaszkowi. Lecz choć cały świat by mógł się pomylić w wyborze, feljetonista „Pracy", któremu dzięki tej karnawałowej porze udało się owładnąć piórem sprawozdawcy politycznego, rozpoznał nawet i pomimo zamieci obiedwie zagadkowe postacie: starego i nowego roku.

Rok nowy — gołowąsy młodzieniaszek, któremu wrodzona nieśmiałość kazała się schować za plecy staruszka — zdobył się jednak na odwagę szepnięcia do mnie: niech no stary zda przed tobą rachunek!

„Rachunek? poco rachunek, jaki rachunek? zawołał stary. Czy to my żydzi, abyśmy się mieli rachować? Robiło się co mogło i dobra. Rachunek skończony. Moje uszano..."

„Hola, stary wygo, zawołałem, kładąc mu rękę na ramię. A kto rok temu tyle obietnic dawał, że najmarniejszą mieścinę w Księstwie wybrukować by niemi można? Obiecywałeś zaprowadzenie stałego pokoju na konferencyi w Hadze, a tymczasem, gdy się wynosisz, w Hadze zostawiłeś na pamiątkę wielką figę, a w Afryce Anglicy z Boerami za łby się wodzą!"

— Ba, to się nie liczy, rzekł stary.

„Dlaczego? pytam."

— Bo chyba głupi mógł sobie coś obiecywać z konferencyi w Hadze.

„Tak, tak, rzekłem. Zręcznie się wykręcasz. Ale sam nie zaprzeczysz, że to coś wyprawiał we Francyi z Dreyfussem przechodzi miarę możności sposobu wytrzymania, jak mówił jeden polityk, który wskutek Dreyfusiady zwaryował."

—Na honor! rzekł stary. Z wami ludźmi to ciężka sprawa. Skarżysz się, że sprawa Dreyfussa już wam bokiem wyłaziła, a sam poruszasz ją teraz i chciałbyś może, abym z tobą o niej rozprawiał! Porzućże ten temat!

Zbił mnie z tropu. Ale miałem jeszcze w zapasie niemało argumentów. Zagadnąłem go znienacka:

„Kląłeś się na wszystkie świętości, że przez ośmnaście lat powiększenia marynarki już nie będzie, a tu tymczasem ładnie dotrzymałeś słowa, stary oszuście! Dziś uciekasz z pola zostawiając nowe projekty — i to podwojenia floty!"

Lecz stary zamiast się zmieszać, rzekł sucho: „Nie mogę z panem rozmawiać o tej sprawie, spieszy mi się bowiem na łono wieczności, a tu mógłby mnie prokurator zapakować za obrazę majestatu"... Widząc, że tak nie dojdę z nim do ładu, postanowiłem po kolei przechodzić wszystkie państwa. Zaczynam od Austryi, tj. od litery A.

„Cóżeś zrobił w Austryi? pytam.

Spojrzał z politowaniem na mnie:

„Widać, żeś feljetonista, a nie polityk, bo nie wiesz o tem, że gdybym chciał w Austryi coś robić, naraziłbym się na najstraszniejszą obstrukcyę."

Czułem, że mnie bije na każdym punkcie.

— Zapytaj go co o poznańskich stosunkach, podszepnął młodzieniaszek z za pleców starego. Poszedłem za jego radą i pytam groźnie:

„Cóżeś zdziałał w Poznańskiem? próżniaku!"

Odparł z wyrazem świętego oburzenia na twarzy:

— „Próżniaku?! Com zrobił? — Założyłem Towarzystwo antyhazardowe"! wygłosił patetycznym tonem wyższości. Czułem, że tu się dopiero złapał. „Zawracaj głupim gitarę, ale nie mnie, mój stary! Próżniaczyłeś się, niceś nie robił, zbijałeś bąki i chcesz, abyśmy cię żegnali jak przyjaciela. A czyś to nie ty może powiększył w dwójnasób kohorty hakatystów. Czy to nie pod twojem berłem rozplenili się tak jak szarańcza?

Stary przymrużył filuternie oka i rzekł: No, no. Nie przesądzaj! jeszcze nie wiadomo, czy to wam nie wyjdzie koniec końców na dobre!

„Niech cię kaci z taką filozofią! zawołałem. — To może i mnie wyjdzie na dobre, że mnie wydalili z Poznania?"

„O, bezwątpienia, rzekł stary z miną głębokiego przeświadczenia. Ja sądzę nawet, ciągnął dalej, że obejrzenie świata — —

Nie dokończył. Dostał w łeb kałamarzem, wywinął dwa koziołki i zniknął w przestrzeni. Słychać było jeszcze jego jakby jęk żałosny i wyrzut: „Niewdzięczny świat"....

Młody stał przestraszony, bojąc się awantury.

Nie bój się, rzekłem. Nie będę żądał od ciebie niepodobieństw. Kilku bagatelek zaledwie. Otóż spraw łaskawie, aby Niemcy odkryli w swych zamorskich podróżach cały nowy nieznany ląd tak wielki jak wszystkie dotychczasowe razem wzięte, i aby tam się wynieśli na

zawsze. Daj im kraj dwa razy tak duży jak Azya.

„Będą chcieli więcej“ — szepnął z cicha mój nowy znajomy.

„Powtóre, ciągnąłem dalej, zakończ afery finansowo-oszczędnościowe w Galicyi.“

— Jakże to mam zrobić, rzekł, jeśli w tylu kasach są jeszcze pieniądze?

Niezrażony, ciągnę dalej: Postaraj się, aby w Księstwie z chwilą twego ustąpienia wszystkie dzieci umiały czytać i pisać po polsku.“

— Postaram się, rzekł prosto i szczerze.

„A naszej „Pracy“ przysporz następne dziesięć tysięcy abonentów, mówię dalej, a on na to:

— O to ja się nie potrzebuję starać, o to się postarają dotychczasowi przyjaciele „Pracy“ sami.

— „A, jeżeli tak, to widzę, że niezbyt się napracujesz spełniając moje życzenia. Mógłbyś pomyśleć też o mnie, i wypełnić mi kabzę kilku papierkami brunatnemi.“

— Jakiś ty naiwny, rzekł młodzieniaszek do mnie, jeżeli nie wiesz, że wydawca „Pracy“ oddawna już to zamierza zrobić!

Wziąłem go pod pachę i poszliśmy na poncz. Piliśmy tam zdrowie wydawcy, czytelników, całego Poznania i wszystkich Poznańczyków. Spił się biedaczysko tak, że gdy go przyszli wywoływać, on mnie na wszystkie świętości błagał, aby mu powiedzieć, czy on jest rokiem tysiąc ośmsetnym, czy tysiąc dziewięćsetnym. Naiwnem tem pytaniem tak mnie rozczulił, żem zasnął i dopiero nazajutrz spostrzegłem, że jestem we Lwowie.

Kazimierz Radwan.



Koniec wieku.

Fantazya.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

Ja się w niezgłębnej wieków przepaści zanurzę
I obaczę wytknięte granice naturze.
Dmochowski.

Wielkiego strachu sen mnie dziś nabawił,
Gdy mi przed oczy koniec wieku stawił:
Widziałem, jak się u schyłku życia silił;
Jak konał, jak się do upadku chylił! —
Wiły się na kłęb cichuchno i zgodnie,
Pchane jakiemiś tajnemi sprężyny,
Chwile, minuty, kwadranse, godziny;
Dalej dnie, noce, a po nich tygodnie;
W kolej miesiące na kłęb się wartały;
A tuż za niemi biegły i kwartały;
Nareszcie lata. — Tych gdym sto doliczał,
Ogrom i ciężar kłębu mnie tak strwożył,
Żem z strachu głowę pod poduszki włożył,
I com miał gardła zakrzyczał. —
Bo jak nie krzyczeć? kiedy kłąb zwiniony
Tak był ogromny, jak kula tej ziemi,
A prosto nad mą głową zawieszony,
Groził i czołem i bokami swemi. —
Wiedząc, że wkrótce w wieczność się zapadnie,
Bo go wiek nowy nie ścierpi na świecie,
Pewnym był, że swym ciężarem mnie zgniecie,
I widziałem się już w przepaści na dnie. —
Wtem mi się straszny widok stawia w oczy,
Który mnie trwogą jeszcze wskroś przeraża;
I choć na jawie, okropnie zagraża,
A serce smutkiem i żałobą tłoczy. —
Śród ciemnej martwej, bezdennej otchłani,
Wznoszą się czarne z hebanu dwa trony;
Na jednym starzec skrzydlaty, zgężony,
Na drugim siedzi kościotrupna pani.
Oboje zbrojni w śmiercionośne kosy,
Tną bez ustanku na około siebie,
I ścielą mnogie pod stopy swe stosy,
Które olbrzymia w sobie otchłań grzebie.
Stosy te pełne zwalisk i popiołów,
Z ludów i światów, wieków i żywiołów,
Nie sycą wcale takowej gardzieli,
Którąby oni wszystko połknąć chcieli.
Tną więc wciąż. — Taka niesytość obrusza
I do przemówienia zmusza.
Więc się odezwę: „A cóż wy poczniecie,
Aż do nicości gdy wszystko wytniecie?“
Starzec wstrząsnąwszy siwy włos na głowie,
Chrapliwym głosem na to mi odpowie:
„Gdy wszystko wytnę, w perzynę obrócę,
Wtedy dopiero i sam się wywrócę
I zniknę“. — Ale godna jego żona,
Samowładnością męża obrażona,
Ofuknie: „Jak to? tyś oddan w mą władzę;
Ja ci łeb zetnę; ja śmierć, ja cię zgładzę.“ —
Wtem w górze postać mignęła nieznana,
W płaszcz nieśmiertelnej przyszłości odziana,
A uderzając berłem w oba trony,
Rzekła do męża i żony:
Czasie i śmierci! zdejmcie z ócz zasłonę:
Ja wieczność jestem. Wasze panowanie
W mojej jest władzy; gdy zechcę, ustanie;
Ja i was pochłonę. —
Na to oboje padli na kolana,
Otchłań się wstrzęsła, jęk zagrzmiał dokoła,
Potem znów cisza, cisza niesłychana!
Aż niewidomy głos jakiś zawoła:
„Wszystko jest niczem; na cóż się zda zwada?
„Jeszcze jest wyższy, co wiecznością włada!“

Omega.

Warszawa, na Nowy Rok 1900.

Poranek noworoczny.

(Fraszka sceniczna).

OSOBY.

Pan Telesfor (skromny kapitalista). — **Stróż Maciej.** — **Wincenty lokaj.** — **Apolonia panna służąca.** — **Roznosiciel gazet.** — **Listonosz.** — **Kominiarz** — **Aron Cukiermann.**

Scena 1-sza.

Pan Telesfor (w szlafroku, cichostępach i nowej czapeczce z chwaścikiem, prezentem gwiazkowym córek, pykając z fajki, u której bursztyn jak jaje).

No Telesforku, rok nowy dobrze się zaczyna. Od samej północy karta odrazu się przeminiła... Same szlemiki i szlemy, a koronek bez liku. Powiadam państwu, że odegrałem wszystko, com z początku wieczora przegrał, a i wzięło się jeszcze jakieś osiem mareczek. Ej, czy tylko się wzięło? (*po namyśle*) Prawda, pan Filip nie zapłacił On zawsze taki roztargniony, a później nijako mu przypomnieć. Chociaż...chociaż... kiedy wygra, to wziąść pieniędzy nigdy nie zapomni. No, alem zawsze wygrał na zaczęcie roku, a to powiadają dobry omen...

W porządnej rodzinie, jak i w porządnem państwie powinno się zawsze układać budżet całoroczny. Więc panie Telesforze, najwłaściwiej teraz zrobić preliminarz budżetu. (Wyciąga z biurka książkę rachunkową, zakłada okulary i namyślając się kreśli różne cyfry). Tak... tak... przypuszczalne dochodziki nie złe, wcale nie złe. A teraz ułóżmy wydatki, bo to powiadają: przychodzie, żyj z rozchodem w zgodzie... (Po upływie pół godziny, gdy już cyfry zostały zestawione, zaciera ręce i mówi): Chwała Bogu, chwała Bogu, wszystko się dobrze kalkuluje, nawet się coś okroi i to nie zła sumka. Prawie 1000 marek. Ejże Telesforku, trzebaby o tym baliku pomyśleć. Moja stara i dziewuchy wciąż mi kotłują głowę, żebym wydał bal na swoje imieniny. A no, dla czego by nie? I owszem. Wszak to św. Telesfora za pięć dni. Trzeba coś dla dzieci zrobić... Odłóżmy na ów bal 300 marek... (Z uśmiechem wyjmuje z grubszej paczki kilkanaście banknotów). — No to się dziewczęta ucieszą,. (Słychać za drzwiami hałas pomieszanych głosów). A tam co się znów dzieje?... (Idzie ku drzwiom i zaledwie je uchylił, dały się słyszeć słowa):

— Winszujemy wielmożnemu panu...



— Prawda, to dziś Nowy Rok. Poczciwi ludzie, przyszli mi powinszować. Nie ma rady, trzeba ich wysłuchać i dać na piwo. No dobrze już... dobrze, tylko wchodzić po jednemu.

Scena II-a.

Pan Telesfor i stróż Maciej.

Maciej. A niech ja wielmożnemu panu życzę po sprawiedliwości fortuny, później zaś w niebie korony.

Pan Telesfor. Dobrze... dobrze, ale czego to Maciej teraz często zasypiacie i jak dzwonię, zaraz nie otwiera, hę?...

Maciej. Po sprawiedliwości, człek ta czasem senny...

Pan Telesfor. A na schodach światło czemu przed dziesiątą gasi?

Maciej. Wielmożny panie, to gospodarza wina, on każe po sprawiedli...

Pan Telesfor. Dobrze, już idźcie, macie tam na piwo...

Maciej (na stronie). Sielma daje tylko markę, a to lokator frontowy (głośno). Dziękuję pięknie za piwo, ale i na gorzałkę zdałoby się...

Pan Telesfor (nieszczęśliwie). Widzi mi się, że Maciej już przebrał miarkę...

Maciej. A na to winszuje po sprawiedliwości... (na stronie) Nic już gęsia dusza nie da.

Scena III-a.

Pan Telesfor i lokaj Wincetny.

Wincenty. Jak mi honor każe, winszuję jaśnie panu najszczęśliwszych szczęśliwości i fortuny najfortunniejszej, która niech...



Pan Telesfor. Dosyć... dosyć... a ja życzę Wincentemu, aby lepiej pilnował porządków i cygar mi nie wypalał.

Wincenty. Jak mi honor miły, to potwarz jaśnie panie... Człowiek się stara.

Pan Telesfor. Czegoż Wincenty chce jeszcze?

Wincenty. Zdałaby się gratyfikacyjka, jak honor kocham.

Pan Telesfor. Później, później zobaczymy...

Wincenty. Dziękuję jaśnie panu, a ja zawsze winszuję, jak mi honor... (na stronie) bodajbyś się dziś udławił stary skrobku... nawet mi cygara wymawia.

Scena IV.

Pan Telesfor i panna Apolonia.

Pan Telesfor. A panna czego chcesz?

Panna Apolonia. Przyszłam powinszować także, wszak przy nowym roku...



Pan Telesfor. Pani znów będzie gderać, że tu przyszłaś...

Panna Apolonia. O bo ja... bardzo... bardzo panu dobrodziejowi winszuję...

Pan Telesfor. No dobrze... dobrze, masz panna za życzenia, tylko sza, ani mru mru...

Panna Apolonia. (na stronie zerknąwszy na banknot). Jak Józieczka kocham, taki ładny papierek; ślicznie dziękuję... ślicznie winszuję...

Pan Telesfor: Umykaj, bo słyszę jak cię pani woła.

Scena V.

Pan Telesfor i roznosiciel gazet.

Roznosiciel (wchodząc recytuje powinszowanie):

Jestem zwiastunem różnych wiadomości
I wszystko co się dzieje, wśród całej ludzko-
[ści,
Ja Ci panie codziennie aż tutaj donoszę,
Więc z tego ja mniemam, a nawet ja wnoszę,
Że... że... że...



Pan Telesfor. Na, masz złotówkę i zmykaj, gdzie pieprz rośnie.

Scena VI.

Pan Telesfor i Listonosz.



Listonosz.

W takim dniu uroczystym
jest listów gromada,
Więc i briefträger tutaj swe
życzenia składa.

Pan Telesfor. Dziękuję... dziękuję...

Listonosz.

A ile liter każdy liścik
mieści,
Tyle niech będzie samych
dobrych wieści.

Pan Telesfor. Dosyć... dziękuję... dosyć panie.

Listonosz (na stronie). Za marną markę i tak za dużo powiedziałem.

Scena VI.

Pan Telesfor i kominiarz.



Pan Telesfor. Jeszcze jeden? A wasza czarna mość czego chcesz?

Kominiarz.

Ja to nad kominem
mam dużą władzę,
Niech się więc nigdy
nie zapalą sadze,
Tego dziś życzę
i z serca winszuję...

Pan Telesfor. Dobrze... dobrze, możesz waść odejść.

Kominiarz. Zdałoby się na mydełko...

Pan Telesfor. A masz... masz, tylko zmykaj panie smoluchu.

Kominiarz (na stronie). Złotówka? No przy pierwszem wymiataniu ja ci ładnie zasmolę pokoje.

Scena VIII.

Pan Telesfor i Aron Cukierman.

Pan Telesfor. Ach nareszcie już koniec... Za dużo tego dobrego... (spostrzega Cukiermana). A tam kto?



Aron Cukierman. To jeszcze ja, panie dobrodzieju.

Pan Telesfor. A to po co, czy także z powinszowaniem? Czego asan chcesz odemnie?

Aron Cukierman. Ja i powinszować mogę. Dla czego nie? Pan dobrodziej mnie nie zna? Prawda, ale pan zna pana Filipa Resursowicza.

Pan Telesfor. Więc cóż z tego?

Aron Cukierman. Pan za nim ręczył 1500 marek. Mam tu weksel solidarny. Wczoraj minął termin, ja przyszedłem po pieniądze.

Pan Telesfor. Ależ ja nie pożyczałem, więc zkądże ja mam płacić?

Aron Cukierman. Pan dobrodziej prawdę powiedział, że pan nie pożyczał, ale pan dobrodziej zapłaci, bo pan poręczył.

Pan Telesfor. Niech pan Filip płaci.

Aron Cukierman. Pan dobrodziej wie dobrze, co pan Filip nigdy nikomu nie płaci.

Pan Telesfor. Prawda, nawet mi dziś w nocy 8 marek z winta nie zapłacił.



Aron Cukierman. A widzi pan dobrodziej. (Po chwili obustronnego milczenia słodkim głosem): Więc czy ja dostanę moje pieniądze, czy też ja mam narobić kosztów sądowych i przysłać komornika?...

Pan Telesfor (myśli i wzdycha, po czem otwiera biurko, z rezygnacyą wyjmuje pieniądze i wręcza je Cukiermanowi, w zamian odbierając weksel).

Aron Cukierman (już we drzwiach). Ja winszuję panu dobrodziejowi z tym nowym rokiem...

Scena IX i ostatnia.

Pan Telesfor. Budżet całoroczny licho wzięło. Bal na św. Telesfora wściekł się... A no... „kto za kim ręczy, tego Aronek zmęczy...“ *Alienus.*

(ZASŁONA SPADA).

TOAST.

Gdy ziemię naszych ojców na troje rozdarto,
Gdy Wisłę rozdzielono z Wilją i Wartą,
Nie mogły w bratniej uczcie jednej matki syny
Posypać sól Wieliczki na chleb Ukrainy, —
Nie mógł brzęknąć przymierzem wiernem, bratniem, sta-
Puhar miodu Kruszwicy z litewskim puharem. [rem.

Jak więźnie, osadzeni każdy w innej celi,
Łzy nasze i krew naszą osobnośmy leli.
Przez nieugięte kraty i przez grube ściany,
Nawet jęk nie dochodził, gdy brat był smagany,
Co się działo przy Warcie, przy Wiśle, przy Niemnie
To tylko po bólu serca czuliśmy wzajemnie,
Bo wiatr tylko lub obłok jaśniejszej postaci
Przynosił pozdrowienie od braci do braci.

I gdyby nie ta wiara wspólnego kościoła,
Co rozproszonych woła do jednego stoła,
Gdyby nie wspólna miłość, która nas kojarzy,
Jużby bracia braterskiej zapomnieli twarzy.
Lecz nadto silny węzeł dolę naszą splata:
Po miłości ku matce rozpozna brat brata,
Nie rozerwą przymierza, choć potrójne siły
Nieprzebytą granicę uczuciom stawiły.

Staję dziś między Wami, jak pielgrzym szczęśliwy,
Pozdrawiam, leśny Litwin, wielkopolskie niwy.
Z rozczuleniem, jakiegom dawno nie doznawał,
Dziękuję Wam za chleba gościnnego kawał,
Za serce staropolskie, do podziału skore,
Za cześć niezasłużoną, którą od Was biorę,
Dziękuję za wzruszenia, których mam tak wiele, —
Zaniosę je na Litwę i z bracią podzielę.

A gdy się Litwa dowie, żeśmy zawsze swoi,
Że jeden cel przed Wami i przed nami stoi,
Że w sercu mamy jedność, choć podział na karcie, —
Myśl w myśli, ramię znajdzie w ramieniu oparcie,
Odnowim zapomniane Jagiełłów przymierze
I odżyjem w miłości, nadziei i wierze.
Miły dziś na mnie dola obowiązek kładzie:
Pijąc dziękczynny toast na Waszej biesiadzie,
Niech uczucia mych ziomków przed Wami wypowiem,
Pijąc w imieniu Litwy Wielkopolski zdrowie...

Syrokomla.



GNIAZDO.

W ŚWIETLE CHOINKI.

Pan Kacper uśmiechnął się, na dzieci z miłością popatrzył, chłopca jednego i drugiego po głowie pogłaskał i do córki, swojej pieszczochy, z pytaniem się zwrócił:

— Cóż to tam, Julisiu, trzymasz w ręku?

Dziewczątko o jasnych oczach cherubinów rafaelowskich, przypadło mu do rąk.

— Tatusiu — odezwała się — dla dziadzi przywiozłam rysunek, dla babci robótkę szydełkową, a dla tatusia i mamusi cenzurę...

Dziadek rozpogodził czoło, przygarnął do siebie wnuczkę i zapytał:

— Cóż to za rysunek... a toś mi, moja panienko dobrodziejko, niespodziankę sprawiła aż miło...

— Pokaż-no ten rysunek, bardzom go ciekawa — dodała babka.

Julisia śmiała się, trzymając w ręku zwinięty arkusz papieru.

— Pokaż-no, coś narysowała? — nalegał i pan Kacper.

— Kiedy się wstydzę, bo może się dziadzi nie spodoba... Ja jeszcze nie umiem dobrze rysować...

I Julisia nagle spoważniała, spuszczając oczy ku ziemi.

— No... no.. nie wstydź się moje dziecko, toć dziadek wybaczy, jeśli co będzie złego — rzekła, ośmielając córkę pani Kacprowa i trzymając w ręku opłatek wraz z mężem przy niej stanęła.

Julisia, widząc, że wszyscy oczekują, aby rysunek pokazała, zarumieniła się i całując ręce dziadka, oddała mu zwitek papieru, niebieską wstążką przywiązany.

— Macieju — rzekł starzec — daj-no mi okulary... Są w moim pokoju... Skocz duchem.

Wkrótce rozłożył rysunek wnuczki i przyglądając mu się przez wielkie okulary, zawołał:

— Wielki Boże! a toć to talent prawdziwy... to nasz dworek lipowiecki, jakby go odfotografował... I dąb, i kapliczka, i las za łąkami... Nawet ganek widzę... i jakieś cztery osoby...

— To dziadzię, tatusia, babcię i mamę Julisia narysowała na ganku — objaśnił rezolutnie jeden z chłopców.

— Dziadzio nawet zupełnie podobny — dodał drugi.

— A niechże cię za to uściskam serdecznie moja wnuczko kochana... A toś mi śliczną Gwiazdkę dała... Lipowiec... nasze gniazdo...

— Pokaż-no mój mężu — prosiła staruszka, odbierając od starca rysunek

wnuczki. — Prawda, jakbym na żywy patrzała, są i pola i łąki...

— Lipowiec ciągle był mi na myśli — zaczęła śmiało dziewczynka. — Uczę się słówek francuzkich... a tu gdzie tylko sylaba *li*, zaraz mi przychodzi do głowy nazwa naszej wioski... Uczę się Historyi świętej o Józefie w Egipcie, zaraz zapytuję się w duchu, kiedy ja też wrócę do domu...

— Tak do Lipowca tęskniłaś? — zapytywał pan Kacper, gładząc wąsa.

— Ach, mój tatusiu, ciągle bez ustanku... bo gdzie może być piękniej, gdzie wspanialsze drzewa, gdzie jest taki wiąz, pod którym dziadzio nam różne ciekawe historye opowiada, gdzie...

Nie dokończyła, bo dziadek przytulił ją do piersi i wzruszony, uszczęśliwiony powtarzał:

— Niech Bóg ci błogosławi, że taką radość sprawiłaś starcowi... o, moje dziecię...

Tymczasem chłopcy cenzury ojcu i matce pokazali, a Maciej, stojąc na uboczu, ręce zacierał, rad, że wesołość zawitała do dworu w chwili wigilijnej.

— A teraz, w imię Boże, dzielmy się opłatkiem — wezwała pani Kacprowa.

Pan Kacper jakoś ociągał się: stał przy stole i patrzył na rysunek, wykonany przez Julisię. W duszy jego ozwał się jakiś głos tajemniczy, jakby z przestrogą, jak z wyrzutem.

— Dzieciństwo, nic więcej... — pomyślał, rysunek odsunął od siebie i zwrócił się ku opłatkowi.

Nastała chwila milczenia: jakoś nikt nie śmiał pierwszy rozpocząć życzeń, nawet dzieciaki, przytulone do starszych, posmutniały.

Pan Kacper wąsa kręcił i kręcił: bał się oświadczyć dzieciom, że to ostatnią wigilię spędzają pod dachem lipowieckim. Był przekonany, że wiadomość ta przejmie dreszczem wszystkich.

— Ha!... — pomyślał — głupstwo... dzieci dziećmi, a interes interesem...

Już pierwsze słowa życzeń chciał wymówić, już się zbliżał do staruszków, gdy nagle przed gankiem rozległ się jakiś głos butny, rozkazujący, a następnie nieśmiałe odpowiedzi służby czeladnej.

— Co to takiego? — zapytał pan Kacper.

— Kto w taką chwilę uroczystą zakłóca nam spokój? — zaczął dziadek.

— Chyba się pali... O, Matko Najświętsza, czy aby nie pożar? — pytała z przerażeniem pani Kacprowa.

Maciej i dzieci wybiegli do przedpokoju, za niemi udał się pan Kacper.

W sieni stał lokaj barona; jedną ręką strzepywał śnieg z kołnierza niedźwiedziego, w drugiej trzymał list.

— Od pana barona! — rzekł tonem rozkazującym — rozglądając się dokoła.

Maciej zmierzył go wzrokiem niechętnym i biorąc list, zapytał: — A do kogo to?

— Tutaj... do dworu... pan baron z Zagórza przysyła i czeka na odpowiedź... pilno nam bardzo, mamy jechać na kuryer nocny...

Mówiąc to, wyzywająco patrzył na Macieja.

Stary niechętnie panu Kacprowi, który się cofnął do pokoju, list zaniósł.

— Co to, Kacperku?

— Od kogo?

— W taką chwilę, w taką uroczystość... list!... Chyba kto umarł... o mój Boże! — rozległy się wykrzykniki.

Pan Kacper rozerwał kopertę, zgniewany i zaciekawiony. Po chwili rzuciwszy okiem na podpis, zawołał:

— Baron Stein!...

— Stein... — powtórzyło kilka głosów.

Zapanowało znowu przygnębiające milczenie. Nazwisko to padło jak grom; dziś wszyscy mieli je na myśli, lecz nikt nie śmiał go wymówić, nie chciał usłyszeć.

— Baron Stein... w taką chwilę... w taką uroczystość... Czegóż chce?... przecie wkrótce ztąd mu się usuniemy — narzekała staruszka i zwolna zbliżyła się do stołu, przy którym pan Kacper przebiegał oczyma ćwiartkę welinu.

Opłatek, choinka, stół nakryty, wszystko to znikło w tej chwili z przed oczu skupionej gromadki; wzrok jej utkwiony był w liście od barona, w liście od człowieka, który będzie wkrótce uważał ich gniazdo za własność swoją.

Serca ścisnęły się bólem, w wyobraźni zamajaczył obraz ponury: biblijny Anioł z mieczem ognistym, wypędzający pierwszych rodziców z raju.

Pan Kacper nareszcie opuścił rękę z listem, czoło przetarł, i uderzając się w piersi, głosem cichym, lecz stanowczym rzekł, wzrok ku ziemi kierując:

— Moja wina... moja wielka wina!

Pani Kacprowa do piersi mężowskiej przypadła i głosem wzruszonym błagała:

— Uspokój się... taka uroczystość... daj mi ten list.

Wzięła ową ćwiartkę welinu i półgłosem zaczęła czytać:

„Szanowny panie Lipowiecki. Interesa handlowe powołują mnie za granicę, wyjeżdżam dziś w nocy. Powrotu oznaczyć nie mogę, więc przed wyjazdem żądam sztanowczej odpowiedzi w sprawie sprzedaży Lipowca. Hans Nikodem Gringold załatwi formalności kupna w mojem imieniu, oraz wypłaci umówioną sumę. Na odpowiedź czekam, kuryer odchodzi o godzinie jedenastej w nocy, rozumie pan, że nie chciałbym się spóźnić. Z należnym szacunkiem. Baron Stein.“

Pani Kacprowej papier wypadł z ręki; dziadowstwo usiedli napowrót, lecz bardziej przygnębieni krzyżem życia. Dzieci jak spłoszone ptaszęta, do kolan ich się przytuliły, a Maciej, stojąc przy kominie i niby drzewa do ognia dorzucając, łzy z oczu ocierał.

— Ha, stało się — myślał stary sługa — koniec świata... jam już nie do miasta, a i starzy państwo też nie do tego.

Pan Kacper chmurzył czoło, włosy odgarniał, widać było, że w sercu jego jakaś walka się odbywa, że chwila jedna a coś zwycięży.

Cisza, jak w lecie przed burzą, zaległa pokój; wtem zdala zabrzmiał dzwonek na wieży kościelnej. Dźwięk spiżowy płynął, niby zwiastun radosnej nowiny.

— Na Pasterkę pierwsze dzwonienie — przypomniał Maciej.

Pan Kacper zbudził się, głowę podniósł i z żoną do rąk rodziców się pochylił. Znać było, że walka już się w nim skończyła.

— Moja wina! — rzekł znowu — moja wielka wina! Chciałem wydać nasze gniazdo w ręce człowieka, który czci tylko pieniądz, nie szanuje pamiątki przyjścia na świat Zbawiciela.

Dziadek wyciągnął drżące ręce do syna.

. . . .

Nareszcie wróciło szczęście do lipowieckiego gniazda. Wieczór wigilijny obchodzono tak wesoło i serdecznie, jak za lat poprzednich, zapomniano o troskach i burzach życiowych, a myśl wszystkich zwróciła się ku gwiazdce Betleemskiej.

Gdy po raz drugi odezwał się dzwonek na Pasterkę, przez pola lipowieckie pomknęły sanie rozłożyste; konie pędziły jak na skrzydłach, bo chciano zdążyć na początek nabożeństwa.

Gościńcem, wiodącym do pałacu barona, jechał jego posłaniec; wiózł mu odmowną odpowiedź, którą Maciej, oddając list lokajowi, przypieczętował słowami:

— Powiedz waść swemu panu, niedowiarkowi, że uratowało nas Dzieciątko Jezus.

K. W.



Zaproszenie do tańca.

I.

Mościa panno, dłoń liliową
W męskiej dłoni śmiało złóż,
Idź z wzniesioną dumnie głową,
I rumieńcem z róż!

Rycerz twój pokręca wąsa,
Patrz, ramiona rzucił w tył,
Podgoloną głową wstrząsa,
Jakby królem był!

W oczka zerka coraz śmielej...
Uśmiechnij się, dziewczę doń! —
W posuwisty rytm kapeli
Teraz schyla skroń.

Z pochyloną staje głową,
Jakby suplikantem był —
Oto, z pod twych stóp, królowo,
Czapką zmiata pył...

W posuwisty rytm kapeli
I ty mu się, dziewczę, skłoń!
Jemu z oczu duma strzeli,
Gdy mu podasz dłoń.

Mościa panno, dłoń liliową
W męskiej dłoni śmiało złóż,
Idź z wzniesioną dumnie głową
I rumieńcem z róż!

II.

Hej skrzypku, basetlisto,
A graj-że posuwisto,
Migają płowe kosy,
Jak w słońcu pszenne kłosy,
A czapki — jak makówki,
Jak sierpy grzmią podkówki.
Zda się, przez Bożą wolę
Ożyło całe pole...
Dziewczyno ukochana,
Oj, danaż, dana, dana!

Hej, skrzypku, basetlisto,
A graj-że posuwisto!
Zerkają ócz bławaty,
Jak w zbożu modre kwiaty,
Barwiste wstęgi w tyle
Fruwają, jak motyle.
Zda się, przez Bożą wolę
Ożyło całe pole...
Dziewczyno ukochana,
Oj, dana-ż, dana, dana!

Hej skrzypku, basetlisto,
A graj-że posuwisto!...
Brzęk, brzęk, brzęk podkówkami
Dziewczyno, dalej z nami!
W gorsecie, szytym złotem,
Serduszko bije młotem.
Oj, bije, bije w łonie,
Dziewucha, jak mak, płonie...
Jedyna, ukochana!
Oj, dana-ż, dana, dana!...

Hej, skrzypku, basetlisto,
A graj-że posuwisto!
Oj, dana, dana, dana!
Kierezya i sukmana,
Wstęg krocie, pióra pawie...
Czym we śnie, czy na jawie?
Toć to przez Bożą wolę
Ożyło całe pole!...
Dziewczyno ukochana,
Oj dana-ż — dana — dana...

III.

Hej, Mazury, hej że ha!...
— Otworzyły się ścieżaje,
I przed dworek modrzewiowy
Kulig jedzie! — Kulig staje!
Brzmią okrzyki, płoną głowy...
. . . .
— A muzyka gra!...

Hej, Mazury, hej-że, ha!
— Otworzyły się podwoje,
Suną pary za parami,
Zuchy w zucha, cud dziewoje.
Dworek brzęczy podkówkami...
. . . .
A muzyka gra!...

Jak cień znikła smutku chmura,
Dworek szczęściem drga.
— Do mazura! Do mazura!...
. . . .
A muzyka gra!...
Oto wali huczną falą
Mazowiecki tan.

Jak się oczy wszystkim palą!
Jaki płomień bije z twarzy!
Aż dech spiera, skrami parzy,
Aż się w oczach mieni tęczą,
Od hołubców szybko brzęczą...
Taki bo to tan!
Męski, butny a ognisty,
Zawadyacki, zamaszysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Pojrzeć, aż się oczy świecą,
Jak Mazury walą, lecą!
Czapkę który muśnie czasem,
W takt hołubca tnie obcasem,
Przytupuje śmiało z góry,
Aż z podłogi lecą wióry...
Ujmie połę i mknie dalej...
Z drogi, kiedy Mazur wali!
Taki bo to tan!
Męski, butny a ognisty,
Zawadyacki, zamaszysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Pojrzeć, aż się oczy świecą,
Jak dziewczęta płyną, lecą...
Główkę czasem przegnie która
Do chłopaka, do Mazura,
W bok się ujmie, nóżką czesze
I hołubce raźno krzesze...
Za nią kosy złote płyną...
Na kolana przed dziewczyną!
Taki bo to tan!
Miękki, słodki a ognisty,
Pełen wdzięku, potoczysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Hej, Mazury, hej-że ha!
— Stary dziaduś kręci wąsa,
Siwą głową w takt potrząsa,
I odmłodniał dziaduś biały,
Same nogi by hasały...
. . . .
— A muzyka gra!...

IV.

...Hu ha!
...Kiedy chwycę mą dziewczynę
Na odsiebkę nią zawinę,
Aż się każdy zadziwuje:
„Bodaj-że go, jak tańcuje!...“
Kogut z pod nóg w całym pędzie,
Na wysokiej siada grzędzie,
Rozpiął skrzydła — my na dole
Coraz w węższem mkniemy kole,
Choć bez skrzydeł — ino żywiej,
Aż się kogut z grzędy dziwi...
Smyk nadążyć nie ma siły,
Basy coś zaniemówiły...
Hej, muzyka, rznij od ucha,
Bo tańcować chce dziewucha!
Hu ha!...

Ścisnę dziewkę, zerknę na nią,
Rzucę czapkę mą baranią,
Z której fontaź kraśny świeci!
Aż tu z grzędy kogut leci!
A ruszaj-że swoją drogą!...
Dla fantazyi tupnę nogą
I pochwycę znów dziewczynę,
Na odsiebkę nią zawinę.
Aż się karczma zakołuje,
A bas jeno pomrukuje,
Skrzypka cienkim brzęczy echem,
A dziewczyna wtórzy śmiechem,
Do ust niesie róg fartucha...
— Hej, muzyka, rznij od ucha...
Hu ha!...

Niby wolniej, jednak żwawo,
K'sobie tera lecim w prawo.
Kiedy spojrzę na dziewczynę,
To się zdaje w ogniu zginę!
Ktoś tam w karczmie z dziadów stęka:
— „Przed dziewuchą chłop przyklęka!...“
A przyklęka jako żywo!
Bo mu dziewka nie jest krzywą...
Więc pochwycę znów dziewczynę,
Na odsiebkę nią zawinę,
Aż się karczma zakołuje,
A bas jeno pomrukuje,
Skrzypka cienkim brzęczy echem.
A dziewucha wtórzy śmiechem.
Do ócz niesie róg fartucha...
— Hej, muzyka, rznij od ucha!...
Hu ha!...

V.

Dudarz z swą kozą od niechcenia igra,
Mrugnie oczyma i tak chłopcom rzeknie:
„Hej, potańcujcie, ot proszę was pieknie..“
I gra...

Płynie muzyka.. Hej, dziwneż to granie,
Słychać w niem wichrów tatrzańskich [hukanie,
Pomruki burzy, gdy w szare skaliska
Grzmoty i złote błyskawice ciska,
Szum jodeł, gdy wiatr po urwiskach hasa,
Bek trzody, co się, hen, na halach pasa —
Wszystko z gór świeżym szerokim odde- [chem,
Słychać w tem graniu oddalonem echem.
Dopiero potem płyną skoczne tony,
Którymi pluszcze strumień rozperlony,
Gdy w wartkim biegu roztrąca kamyki!..
— Taka treść niby dudarza muzyki.

On zaś palcami precz z swą dudką igra,
I, kędy chłopców stoi zbita kupa,
Wszedł, tłum roztrącił, a sam nogą tupa
I gra...

Drepcąc, biegnąc drobnym krokiem,
Góral szarą gunią miga,
W bok się rzuci zwrotem, skokiem,
I znów zwija się, jak fryga.
W kapeluszu, z fajką w zębach
I w obcisłej swej odzieży,
Jak po górach za kozicą,
Tak za kozą w tańcu bieży.
Zda się, stromą gdzież ścieżyną
Wichry ściga lotną nogą —
Tony dudy wartko płyną,
Lecz nadążyć mu nie mogą.
To znów nagle w miejsce wrasta
Smagłą, giętką, górską sosną —
Takie sosny na Podgórzu
W podkarpackich lasach rosną.
Włos mu bije po ramionach,
Zgięte ręce drżą pod bokiem,
Góral drepce, przytupuje,
W miejscu skręci zwrotem, skokiem.
Stary dudarz kozę gniecie
I gra, ile tchu...
Tańcuj-że, gór szarych dziecię,
Hej, du, du, du, du!..

Ot góralka idzie w tany,
W kole zwija się, jak fryga,
Serdak kraśno wyszywany
I róg chustki z głowy miga.
Dziewczę drepce, to podskoczy,
Drży pod chustką włosów fala,
A z pod rzęsy czarne oczy
Aż się śmieją do górala.
I podobna jest dziewczyna,
Gdy ma taki uśmiech słodki,
Do rozkwitłej na gór szczycie

Białej w pośród mchów szarotki.
Jak te chmurki nad doliną,
Buja w tańcu lekką nogą —
Tony dudy wartko płyną,
Lecz nadążyć jej nie mogą.
Stary dudarz kozę gniecie
I gra, ile tchu...
Tańcuj-że, gór szarych dziecię,
Hej, du, du, du, du!..

Bożydar.



Marzenie cesarza.

Działo się to w wigilię Bożego Narodzenia r. 1811. Napoleon I siedział w swoim gabinecie w pałacu cesarskim w Paryżu. Pracował już od godziny dziesiątej.

Ogromna sala tonęła w mroku, z którego wyłaniały się tu i owdzie niektóre przedmioty, błyszczące pozłotą — ramy obrazów, głowy lwów, dźwigające poręcze foteli i bogate ozdoby portyer i firanek. Woskowe świece paliły się pod metalowemi umbrami, oświecając tylko stół, zarzucony atłasami i książkami. — Każda z nich była oprawna w zieloną skórę, na każdej błyszczała złota litera N. a pod nią korona.

Władca już od dwóch godzin siedział przy pracy. Nad mapami i planami wojennymi pochylało się to wysokie czoło, ocienione puklami włosów, a ciężkie jak kula ziemska, którą właściciel jego z posad ruszyć zamierzał. Azyę przedstawiała mapa, na której delikatna, nerwowa ręka cesarza nakreśliła długą kreskę. Była to daleka, bardzo daleka droga przez Persyę do Indyi.

Do Indyi!... lądem! Bez wahania. Zwycięzca nie posiada floty, pozostaje mu więc ta jedyna droga do palm bajecznych czarownych lasów. Z tej strony zada Albionowi dumnemu śmiertelny cios, godząc w jego najczulsze miejsce — kolonie, które są kopalniami złota. Aż tutaj zabłyszczą jego złote orły, a promienie się łamać będą na polerowanej stali bagnetów.

Już posiada chwałę Cezara i Karola Wielkiego, potrzeba mu jeszcze chwały Aleksandra, a marzenie o niej nie oślepia go wcale.

Poznał już przecie Wschód i pozostawił na nim nieśmiertelną po sobie pamiątkę. Brzegi Nilu widziały małego, szczupłego generała wówczas, kiedy dosiadał wielbłąda. Dla cesarza w jego majestacie osiodłają teraz nad Gangesem — słonia.

On wie i umie pociągać za sobą narody, zna sposób budzenia w nich fanatyzmu. Tam będzie rozkazywał żołnierzom o bronzowych twarzach, ocienionych muślinowymi turbany. W sztabie jego znajdą się obsiani brylantami indyjscy Raja. Biedni, obdarci kapłani odkryją mu jego przyszłość, której Sfinks egipski nie umiał rozświetlić. Cesarz Europy! Sułtan Azyi! Tylko te dwa tytuły mają widnieć na portalu przyszłego mauzoleum.

A przecież jest pewna przeszkoda! Rosyjski olbrzym!

Ponieważ nie udało mu się zdobyć przyjaźni Aleksandra, musi go zgnieść. I mała ręka cesarza przerzuca karty zielonej księgi. Władca czyta notatki, odnoszące się do sił wojennych, skoncentrowanych nad Niemnem. Tak! Północnego despotę musi on zgnieść i daleko za sobą powlec, jak upokorzonego wasala, wraz z dzikiemi hordami, aby zdobyć Wschód.

Cesarz Europy, sułtan Azyi! Potężny, olbrzymi plan nie przerasta ani jego woli, ani jego geniuszu. A kiedy go wykona, ugruntuje potęgę cesarstwa swego, nie tak, aby groziło rozkładem, jak niegdyś mocarstwo Macedończyka. Od 20 marca cesarz ma syna — dziedzica zdobytej sławy i potęgi. A wspomnienie to przywołuje uśmiech na ściśnięte usta cesarza. Dziecię śpi w pobliżu, w jednej z przytykających do gabinetu komnat spokojnego wówczas pałacu.

Nagle zdziwiony cesarz oderwał oczy od księgi. Do spokojnego, obwieszonego miękkiemi draperyami gabinetu wciskały się jakieś tajemne szmery, podobne do brzęku złotych pszczół, latających koło ścian. Cesarz zaczął się w te szmery uważniej wsłuchiwać i poznał w nich dźwięki metalu.

Ach, tak... Boże Narodzenie... Północ... I rzeczywiście brzmiały dzwony paryskich kościołów, czcząc święto narodzin Pana. Były to te same dzwony, które Bonaparte bardzo jeszcze niedawno zwrócił świątyniom, jako konsul pokoju.

Jakże często rozbrzmiewały te dzwony, zapraszając wiernych na uroczyste „Te Deum,“ kiedy on, jako zwycięzca do stolicy powracał. Jeszcze przed kilkoma miesiącami brzmiały one tak głośno w dzień urodzin króla rzymskiego, w dniu owym, kiedy to zdawało się, że niebo samo zesłało zwycięzcy syna, aby dzieło jego wielkie pobłogosławić i utrwalić.

I dzisiaj, w tę jasną i zimną noc biją te dzwony z tą samą siłą, jak po zwycięstwach pod Wagram i Austerlitz, ale już na cześć skromnego dziecięcia, syna cieśli, który przed wiekami urodził się na słomie, w stajence. Dzwonią dzwony, a równocześnie jakiś głos tajemniczy rozbrzmiewa: „Chwała Panu na niebie, a ludziom pokój na ziemi!“

Cesarz gonił uchem owe niepochwytne dźwięki i tonął w zadumie. Przypominał sobie swe własne, ciche i skromne dziecinne lata. Pasterkę celebrował wuj jego Ajaccio. Potem liczna rodzina nocą powróciła do domu starego a skromnego, w którym z dumą znosiła ubóstwo. Wspominał swoją poważną i piękną matkę, która prezydowała na skromnej uczcie. Czuł zapach tych pieczonych kasztanów, które wówczas z takim apetytem spożywał.

A syn jego, syn zwycięskiego cesarza i habsburskiej księżniczki nie zazna nigdy głodu i nędzy. On będzie panował nad całym światem.

W mieście, w tę mroźną noc słychać coraz wyraźniej głos dzwonów, które obwieszczają narodziny Zbawiciela. Przed bramą pałacu przechadza się tam i napowrót słuszny żołnierz w wysokiej czapce. Stąpa wielkimi krokami i mocno tupie o płyty kamienne, aby się trochę przynajmniej rozegrzać. Myśli biedak o swej chatce rodzinnej i uśmiecha się pod zamarzniętym wąsem, wspominając synka swego małego w kołysce.

A dźwięk dzwonu nie pociąga cesarza do modlitwy. Myśli on o swym synu, którego nagle chce widzieć. Podniósł się i klasnął w dłonie. W tej chwili rozsunęły się ciężkie firanki a wśród nich pojawił się Rustan. Na znak, dany przez cesarza, wziął jeden ze świeczników, a władca poszedł za swym wiernym mamelukiem. Minęli kilka sal pustych i ciemnych i znaleźli się w sypialni małego króla. Cesarz oddalił piastunki i Rustana a sam stanął nad kolebką uśpionego syna.

Król rzymski spał twardo. Piękna główka dziecięcia utonęła głęboko w poduszkach, a różowy, pulchniutki paluszek tkwił w czerwonych, jak wiśnie usteczkach. Niewinne dziecię w kołysce pokrywały drogocenne wezgłowia, na których leżała rozciągnięta wstęga legii honorowej, szeroka i czerwona, jak strumien krwi, która kiedyś przelaną zostanie w nadziei, że mała jeszcze dzisiaj, rączka dziecięcia podniesie w przyszłości wszystkie berła świata i zwiąże ją tą wstęgą w jedną potężną — wiązankę.

Napoleon patrzy na syna z największą dumą, jaka kiedykolwiek poruszyła serce ojca. Myśli o tem, jak najwyżsi dostojnicy państwa, wojownicy sławniejsi od opisanych przez Homera bohaterów, ministrowie i senatorowie w złotych uniformach, z drżeniem i pokorą chylić będą swe osiwiałe głowy przed tą małą kolebką.

Cesarz marzy, a wśród zlewających się w jeden strumień szeroki dźwięków uroczystych dzwonów dochodzi go jednostajny odgłos kroków jego armii i huk dział, który leci doń z daleka — z poza Niemiec i Polski. Napełniony dumą ojcowską, marzy teraz więcej, niż kiedykolwiek, o armii swojej wielkiej, o zdobyciu Rosyi, potem Indyi, przysięgając w duszy, że następcy swemu zostawi w spuściźnie wszystkie trony starego świata. Miasto świętego Piotra darował już swemu synowi, jako zabawkę, jeszcze inne uświęcone miejsca daruje mu niedługo.

Emir Mekki! Raja indyjski! Jeszcze i te berła muszą leżeć u stóp króla rzymskiego. Dlaczego on, niezwyciężony wódz, nie może rozporządzać milionem, dwoma milionami żołnierzy? Mógłby cały świat zdobyć, całą kulę ziemską złożyć w tej małej różowej rączce!

Cesarz marzy i głuchy jest na dźwięk świętego dzwonu, i nie myśli o tym, który z nieba rządząc spogląda na państwa, jak na małe mrowiska.

Marzy i nieprzewiduje, jak armia jego olbrzymia tonie w śniegach pod Be-

rezyną, nie widzi, jak kartacze angielskie łamią drzewce ostatnich orłów jego na nieszczęsnej równinie pod Waterloo. Nie widzi skał, sterczących śród morza, na których czeka go kaźń Prometeusza. Nie widzi owego, wybladłego, chorego młodzieńca, który z austryackim orderem na piersiach spaceruje po parku wiedeńskim w dzień mglisty jesienny! nie słyszy, jak kaszel jego ciężki i suchy miesza się z smutnym szelestem zeschłych liści.

I podczas, kiedy cesarz nurza się w swych rosnących coraz bardziej marzeniach, i podczas, kiedy święcie wierzy, że syn jego i zastępca zapanuje nad światem, a o sobie samym myśli, że on, Napoleon, odrodzi się w podaniu i historyi jako Mars nowy, jako syn boży — brzmią dzwony bez ustanku, wesoło i z tryumfem, aby światu obwieścić chwałę biednego dziecka, które urodzilo się w Betlejem, chwałę Tego, który przed dwoma tysiącami lat naprawdę zawładnął światem, nie mieczem, ale słowem pokoju i miłości, który panuje i będzie panował nad duszami wszystkich ludzi na wszystkie wieki.

Franciszek Coppée.



Wspomnienie z cytadeli kijowskiej.

W maju 1864 roku.

Zatrąbiono pobudkę wieczorną... Dziki głos trąbki, nie znajdując sobie swobodnego wyjścia z baszty, odbijał się o okna korytarzy, brzęczał żałośnie o szyby szklane; wleciał do korytarza — w sekundzie przeleciał całą ogromną przestrzeń, i zginął gdzieś w zakrętach pomiędzy łuki... A tylko jeden jękliwy ton, zaglądając przez drucianą kratę do więźnia, coś mu szepnął smutnego i każdy czuł jednako, każdego wrażenie tej pobudki rzewnej, tęsknej i dzikiej razem rzucało w koło wpomnień, i każdy jedno wyrażał: „Smutno. Gdyby się prędziej skończyła ta pobudka.„ Skończyła się, i równie przeraźliwa cisza jak odgłos trąbki, cisza śmiertelna, witała przerażeniem i tęsknotą każdego więźnia.

Po krągłym dziedzińcu baszty, śród szyldwachowych żołnierzy, przechadzał się tylko oficer. Chodził wciąż zamyślony, i nie patrzał wcale kiedy wychodził patrol z baszty, kiedy szli żołnierze na zmianę i honor mu oddawali. Chwila po chwili spoglądał tylko na blado oświecone jedno okno w korytarzu; okno z wnętrza dziedzińca było zakratowane, zamknięte, kiedy inne przeciwnie otwarte, wpuszczały do korytarzów lekkie, świeższe niż zwykłe miejscowe powietrze i rozgrzaną cierpieniem odświeżały pierś biednych samotników... Czasem na jego spojrzenie ukazała się do połowy jakaś postać — był to żandarm, a częściej światło migało coraz to słabiej, jakby miało zagasnąć. Kiedy podoficer przychodził zapytywać go o co — zbywał go tylko pojedyńczemi słowami: „rób!“, „idź“, a sam wciąż chodził, myślał, i czasem zlekka podniósł głowę na krzyk „kto idzie?“ opuszczał ją znowu, i nieraz westchnienia towarzyszyły jego poważnym krokom... O czem on myśli?...

On myśli o cudownym Kaukazie... o najpiękniejszych chwilach swego życia; bo choć walczył przeciwko swobodnym w tych górach — gdzie często jak myśl niósł go koń bystry, po nad brzegi urwiste Tereku, przez Doryał, albo gdzieś w lasach dębowych, gdzie prócz nieba, orłów i szczytu Kozbeku, pnącego się dumnie do tronu Ałłacha, nie widział nikogo — milszy, bo rodzimy, był mu świat kuli Czerkiesa, śród nocnej ciszy, przerywanej szumem drzew odwiecznych nutą syna swobody, niż ta straszna cisza więzienna, przerywana głośną modlitwą czyją, albo odgłosem jednostajnego: „kto idiot?“ Równą rozkoszą było mu tam zabić broniącego się Czerkiesa, jak uratować z palącego się aułu, z pośrodku świstu kul broniących się i szczęku szabel i błysku jataganów, jaką piękną Belę, choćby wymarzoną jak u Lermontowa, zawieść ją w swoich objęciach do namiotów, albo do forteczki, i później upajać się spojrzeniem jej oczu, rozkosznem jak raj Mahometa, cudnem, uroczem, różnobarwnem jak żar gwiazd wschodniego nieba, dumnem często jak szczyt Kozbeku, pieszczotliwem jak pieszczoty wymarzonej huryski, jak zapach róży Szyrasu — ale nigdy zimnem, lodowatem.

Śród tych marzeń rysowała mu się smutna postać kolegi i przyjaciela. Był nim Michałowski, niegdyś współtowarzysz boju i rozkoszy wschodnich, a dziś więzień, skazany na śmierć, oczekujący jutro, pojutrze ostatniej nadziei na życie... Blado oświecone okno korytarza jest przedpokojem osobnym do jego więzienia; postać żandarma zamkniętego w przedpokoju jego stróżem.

Śród takich, jak widzieliśmy marzeń, tchnących ciepłem młodzieńczem, rzeczywistość jak widmo straszna nasuwała mu się z kolei. Ledwo porzucił wojnę, swobodne życie, ledwo z utęsknieniem pożegnał te lasy i śniegi, gdzie nieraz koń jego bujał, ledwo pożegnał cudne, płomieniste oczy Czerkieski — gdy car, dając mu gwiazdę za „zdobycie Kaukazu“, w te strony iść rozkazał. Posłuszny sile, do której nawykł — przyszedł. Kazano mu zająć wartę w Prozorowskiej baszcie — zajął. Jakież było jego zdziwienie, gdy chodząc od pokoju do pokoju i licząc jak owce nieszczęśliwych więźniów, przyszedł do drzwi — zamkniętych. Oficer zdający mu wartę wyjął dwa klucze ze swojej kieszeni, jednym odmykał drzwi.

— Kto tu? — zapytał otwierającego.

— Skazany na śmierć, Michałowski.

Papier i ołówek zadrgały mu w ręku, pomyślał: „Miałem przyjaciela na Kaukazie, także Michałowski, kiedyś mi życie ocalił...“

— Czy wojskowy? — zapytał jeszcze.

— Nie — odpowiedział tamten, i weszli do korytarza. Tam był żandarm.

Oficer drugim kluczem począł odmykać drzwi więzienia. Skrzypnęły wrzeciądze, i szlachetnemu Moskalowi serce stuknęło. Weszli. Więzień stał przy oknie, i patrzał na swobodny, wesoły Kijów... Obrócił się, kiedy oficerowie weszli, i przy słowie „jeden“ zanotowali jego na karcie. Michałowski poznał Lesowa, niegdyś przyjaciela, ale milczał; wiedział on, że za znajomość ze skazanym na śmierć, wysyłają na Sybir. Lesow nie przywitał go także słowem, ale sercem przywitał, bo rzucił spojrzenie, co dziś nieszczęśliwemu Michałowskiemu przypomniało dawne, swobodne czasy. Minęła ta chwila szybko. Zamknąwszy korytarz i żandarma, Lesow wziął klucze do swojej kieszeni. Ciężkie mu one były, ciężyły śmiercią, ołowiem dwunastu kulek, co lada chwila miały ugrząść w tej szlachetnej piersi, co się dla niego kiedyś przed kule czerkieskie nastawiła. Michałowski wrócił do okna, a Lesow smutny poszedł dalej przyjmować wartę, liczyć więźniów. Warta tego dnia zmieniała się równie z pobudką o 9-tej wieczorem. Zdarzenie jedyne, któremu właśnie potrzeba przypisać przyjście na wartę Lesowa. Zapewne jakaś ważna zajść musiała przeszkoda dla objęcia warty wcześniej.

Jak żołnierz, idący na spotkanie rot nieprzyjacielskich — Michałowski myślał o śmierci... Straszno jest myśleć o niej w sile młodego wieku, tem straszniej, kiedy ta śmierć, co śród bojów tysiąca mijała odważnego rycerza, jakby ceniąc jego męstwo, dzisiaj przyjdzie na jego spotkanie z ironicznym uśmiechem i bezbronnego uściśnie w swoich zimnych objęciach... Niegdyś szczęśliwy kochanek, ukołysany nieraz śród szumu górskich potoków marzeniem wschodniem, pięknem jak huryska, palącem jak słońce pod równikiem — a dziś, jutro — trup, tylko nie na zdobycz sępów śród pustyni, a szakalów śród lasów kaukazkich, ale zdobycz wroga, co i sępom i szakalom nie wyrzuci jego trupa, lecz schowa do ziemi głęboko... On wolałby, żeby sępy rozerwały na sztuki jego ciało, rozniosły po śnieżnych górach Elbrusu, Krestowej, niż gnić w ziemi. Syn swobody pragnie swobodnej śmierci, swobodnego końca swoim resztkom. Pamięć Lesowa i dawna przyjaźń wywołała dawne wspomnienia, a jakby dla straszniejszego kontrastu z jego teraźniejszem życiem i śmiercią, fantazya, mając blask księżyca i myśl za jedynych przewodników do dolin greckiej Kolchidy, rysowała mu obrazy cudne z jego dawnego życia, odzywała się w duszy tonem dziwnej muzyki, jaką niegdyś słyszał, kiedy zachwycał się pierwszy raz w życiu duetem ze świszczącego wiatru po śniegach gór i łoskotu wody, pieniącej się w biegu z kamienia na kamień... On marzył nie w więzieniu, marzył swobodnie w kaukazkich górach, tak mu jasno wszystko stało przed oczyma..

Rzucił się nagle ku oknu... Cóżeś przypomniał sobie nieszczęśliwy?...

Taka sama cicha, gwiaździsta noc była, kiedym uratował życie Lesowa. Dano nam znać, że Czerkiesi są w górach, i przyleciał zadyszany Lezgin i z płaczem objawił, że mu dziś przed godziną uprowadzono stado. Na koń — i w góry! Idziemy spokojnie. Sępy tylko

krążą nad nami przeczuwając zdobycz... Idziemy dalej. Wystrzał! jeden, drugi, trzeci, tysiąc... — nie dojrzeliśmy wroga — niejeden z kolegów we krwi się tarzał, jęcząc, a Czerkiesi jak orły na zdobycz, rzucili się masą z gór... Krzyk ich: Ałłach kerim! swem echem zapełniał dolinę; błysnęły szable, atagany, i w jednej sekundzie wpadli na nas — rąbali, kłuli. Kilka minut była straszna walka. Widzieliśmy jak w jednej chwil, to koń raniony w pierś ataganem podniósł się, by ostatni raz obronić pana, i upadł na ziemię — to głowa w konwulsyach, oddzielona od ciała szaszką czerkieską, padała w krew zabitych. Nie wielu nas zostało. Czerkiesi jak wpadli, tak uciekli nie wiedzieć gdzie. Obejrzeliśmy się po za siebie. Jęki niedobitych, trupy, krew — a w górze nad nami sępy, zwiastuny przelewu krwi i niebo i Bóg i gwiazdy — a cisza jak przed bitwą, jak teraz.

Czemuż ja wtedy nie zginął?

Odszedł od krat, chodził jeszcze chwilę, nareszcie ukląkł przy łóżku i począł się modlić. Modlił się długo. Żandarm spojrzał przez kraty do kaźni — i żałośnie głowę odchylił.

Wtem dzwonek jęknął na dziedzińcu, i zabrzmiał głos silniej niż zwykle: Kto idiot? Lesow przy odgłosie dzwonka podszedł do drzwi — i oddał honor wchodzącemu komendantowi. Michałowski modlił się wtedy, gdy dzwonek posłyszał; zbladł, nie bojąc się śmierci, ale lękając się umrzeć bezbronnie i pomyślał: to po mnie... i szczerzej począł się modlić. Żandarm wstał z ławki, wyprostował się, i znowu spojrzał przez kratę do Michałowskiego.

Komendant rozmawiał z Lesowem.

— Niech pan każe przygotować sześciu żołnierzy i podoficera.

Lesow zawołał podoficera, i spokojnie wydał rozkaz.

Komendant z Lesowem weszli do pokoju przeznaczonego dla oficera od warty.

— Proszę pójść do Michałowskiego, — mówił mu dalej — i kazać, żeby rzeczy zabrał, bo pójdzie zaraz.

— Dokąd panie jenerale? — zapytał.

— Na Sybir, na całe życie. Ułaskawiony!

Lesow zadrżał tajemniczą radością.

Kiedy taka rozmowa toczyła się między komendantem a Lesowem, stu więźniów natężało uwagę przy odgłosie dzwonka i czekało co to będzie.

Lesow z rozpromienioną twarzą poszedł.

Przeszedł długi korytarz, i z za każdej drócianej siatki błysnęło dwoje ócz rzucając mu straszne spojrzenie.

Otworzył drzwi od korytarza. Odmykając drzwi do pokoju spojrzał przez kratkę: modli się! Serce mu się ścisnęło na ten widok; nieszczęśliwy więzień myślał może, że niegdyś jego przyjaciel przychodzi mu zwiastować godzinę śmierci. Wszedł do pokoju. Michałowski nie odwracając się modlił się głośno. Lesow smutno stał z skrzyżowanemi rękami; za nim żandarm. Cicho. Żandarm i oficer milczeli, szanując modlitwę. Śród tej ciszy głos modlącego się odbijał się tylko tęskno jak z duszy jego wychodził, i umierał w czterech ścianach, nie mając gdzie wyjść. Minęła długa chwila takiej ciszy. Lesow przerwał ją:

— Michałowski wstań i zbierz twoje rzeczy.

Więzień oderwał oczy od książki, i łzawe mu rzucił spojrzenie. Lesow zrozumiał wymówkę.

— Dla czego przyszedłeś — mówił Michałowski – przeszkodziłeś mi modlić się. Przez ciebie nie mogę skończyć ostatniej modlitwy.

Zraniony Lesow mógł tylko wymówić.

— Zbierz rzeczy!

— Jutro zamordujecie mnie, i pocóż ja mam je zabierać? — mówił więzień wstając.

— Tyś ułaskawiony; do katorgi na całe życie — rzekł mu Lesow.

Chodźmy, chodźmy! Ja nic nie biorę i tak pójdę, byleby prędzej wyrwać się z tego więzienia, gdzie mi tak straszne dnie zbiegły.

Lesow, jakby nie słysząc słów Michałowskiego, obrócił się do żandarma:

— Idź do komendanta i zapytaj, czy Michałowski ma wszystkie rzeczy zabrać, czy tylko potrzebniejsze. — Użył tego fortelu, aby się pozbyć żandarma.

Tu Bóg tylko i mury więzienne, świadki tylu łez i modlitw, były świadkami jego szczerego, przyjacielskiego przywitania się. Lesow mówił nie wiele. Wyjął pugilares, dobył zwitek banknotów, potem na wyrwanej kartce coś pisał ołówkiem, i wręczył to Michałowskiemu.

— Weź przyjacielu! Pamiętaj o tem, że między Moskalami, których tak nienawidzisz, są zawsze tacy, którzy umieją szanować przyjaźń i mają serce. Ty mnie uratowałeś życie. W tej kartce znajdziesz sposób do ratowania swojego. Uciekaj z drogi i bądź u tych osób, które ci zanotowałem, a znajdziesz radę, złoto i serce.

Uśmiechnęli się jeszcze raz.

— Nie potrzebuję ci przypominać, abyś był ostrożnym — dorzucił Lesow.

Michałowski kartkę trzymał w ręku.

Wszedł żandarm, i zastał pokój Michałowskiego zamkniętym, a Lesowa opartego o kratę okna wychodzącego na dziedziniec.

— A co? — zapytał wchodzącego żandarma.

— Wszystkie! — odpowiedział tamten krótko.

Za chwilę Michałowski był gotów. Szli przez korytarz. Z za kratek dolatywały go zapytania:

— A jakże, bracie? Dokąd?

Do katorgi na całe życie — odpowiedział więzień, i szedł dalej.

Za kratami głucho zabrzmiały słowa pożegnania. Drzwi od korytarza stuknęły za niemi, znikł odgłos kroków, i po dawnemu było cicho, rzewnie, ponuro...

D. L.



Epizod z roku 1831.

Napisał *G. W.*, weteran i przyjaciel „Pracy.“

(Ciąg dalszy.)

To już przecie każde wie dziecko, że te Prusaki nas serdecznie nie cierpią, a że od początku powstania narodowego nietylko sprzyjali i pomagali czynnie Moskalom, to już dziś o tem nikt nie wątpi. — Nieuczciwym sposobem dostarczali Moskalom, co im tylko w czasie kampanii było potrzeba, udając neutralność, czego by nawet nie uczynił dziki Murzyn ani Chińczyk zgłupiały.

Owóż jakkolwiek tajemne, piekieł godne dzieła nie wychodzą nigdy zupełnie na jaw, są ślady, że to namowy pruskich kupców naprowadziły żydków z Paniewa na drogę, która sprowadziła nieszczęśliwą katastrofę, jaką właśnie opisuję.

Żydkowie ci paniewscy mieli mnogie stosunki, a osobliwie drabując ciągle lasy, mieli znajomość dokładną miejscowości.

O ile te rzeczy na jasno stanąć mogły, były już porozumienia, że ci żydkowie, których Szarkowski miał za najbliższych sąsiadów, nęceni chciwością rubli, któremi łotry Moskale ciągle ich kusili, namawiani przez Prusaków, z którymi łączyła ich konieczność handlowych stosunków, jeździli razy kilka potajemnie do Grodna, i przed dowódzcami zdradzali ruchy biednych naszych powstańców.

Dodać tu wypada, że w onym czasie przebąkiwano i o tem, jako ci sami żydzi mieli od dawna zawziątek na kilku powstańców z oddziału Szarkowskiego, jak to się nieraz trafia w sąsiedztwie i w sprawach handlowych; więc tedy mieli im zaprzysiądz zgubę.

Szarkowski dowiedział się o tych wszystkich machinacyach i miał ich już na bacznem oku. Sam wszakże był zanadto oględny, aby jakim przedwczesnym i gwałtownym krokiem zwiększyć jeszcze tę nieprzyjaźń starozakonnych, o której wiedział doskonale.

Tymczasem nieszczęście chciało, że właśnie w jego niebytności, jeden z jego podkomendnych wracając z podjazdu, wstąpił na czele kilkudziesięciu ludzi do Paniewa. A miał właśnie nowe dowody, które zwracały pewność prawie posądzenia na trzech głównie żydków paniewskich, których nareszcie głos powszechny wskazywał jako szpiegów.

W chwili tedy jakiegoś niczem nie wytłumaczonego uniesienia, kazał pochwycić tych trzech żydów, i po kilku groźnych słowach, na które przestraszeni żydkowie nic odpowiedzieć nie śmieli, bo po prawdzie złe sumienie patrzało im z oczów, bez sądu wszelkiego kazał ich powiesić.

W jednej chwili wypełniono srogi wyrok, i powieszono ich na wysokiej jodle, tuż przy samej drodze. Do dziś dnia jeszcze stoi na tem miejscu owe drzewo pamiętne, na którem przed laty sześćdziesięciuośmiu wisiało trzech nikczemnych szpiegów.

Dziwna rzecz!... W chwili kary lud okoliczny przekonany był o jej sprawiedliwości, a przecież później pamięć winy zatarła się pomału, a odraza tylko do srogiej i haniebnej kary została. I jako

zwykle zabobonny, w tych mianowicie okolicach, lud tamtejszy nie dotknął się ani też przyłożył siekiery do tego drzewa, które przechowało się aż dotąd jakby na dowód nikczemności z jednej, a nieroztropnej gwałtowności z drugiej strony.

Smutny ten a wcale nie polityczny wypadek (bo w tem też sęk cały, że już to my do polityki niezdary wielkie) w którym Szarkowski, jak mówiłem, żadnego nie miał udziału, stał się rozgłośnym w całej okolicy, i niestety, najgorsze pociągnął za sobą skutki, bo przyspieszył zgubę biednego partyzanta.

Łatwo pojąć, jaką złością zakipiało całe żydostwo w Paniewie i w okolicy; a wszak to powieszeni nie jednemu byli krewnymi, innym przyjaciołmi lub wspólnikami; i trzeba też wyznać, że żydzi solidarnością, jaką się trzymają między sobą, mogliby nieraz i chrześcianom służyć za przykład.

Dodajcie do tego, że prócz złości i chęci zemsty, powodował żydami postrach, bo wielu z nich czystego nie miało sumienia, bali się zatem co chwila podobnego losu. Zaprzysięgli tedy między sobą zgubić powstańców, i w tym celu wysłali szpiegów do miasta Grodna. Ci tedy przyrzekli, że wskażą miejsce, gdzie się ukrywa obóz partyzantów, a znając Moskali naturę, donieśli prócz tego, że w obozie nagromadzone są ogromne bogactwa i kosztowności; co też i prawda była, bo sąsiedni obywatele, usuwając się od głównego traktu, kędy był przechód Moskali główny, posprowadzali do obozu co mieli najlepszego i najkosztowniejszego.

Na tę wiadomość, każdy zrozumie z was, jak wszyscy Moskale od dowódzcy zacząwszy, połykali ślinkę. Bo już to łajać i rabować, to był zawsze obyczaj i była rozkosz moskiewskich sołdatów.

W tem, jakieśmy to teraz dożyli, jeszcze synowie i wnukowie nie odrodzili się od swych Mikołajowskich ojców i dziadów, z przesławnej carycy czasów. Nowe dowody swoich talentów dawali po bruku warszawskim; zarzynali niewinnych, by ich złupić i okraść, a łupili i okradali, by ich zarzynać. Sami oficerowie wyższych usposobień, przyznają, że warować (kraść) to należy do konieczności natury sołdata moskiewskiego. Gdzie stoi na kwaterze, to choćby goździa, choćby postronka kawałek ukraść musi koniecznie. To też starszyzna przekonana o tem, nie karała zwykle za samą kradzież, ale za kradzież niezgrabną.

Ileż to razy sołdat niejeden ginął pod pałkami za ukradzionego koguta; który go zdradził rozpaczliwem pianiem, a oficer przewodniczący karze powtarzał mu od czasu do czasu, jako sens moralny odbieranych pałek:

— Było tak ukraść, by nikt się nie dowiedział.

— Aj Biatuszka!... — jęczał pod plagami sołdat, i tłumaczył się, że go kogut szelma zdradził głosem swoim.

— Sukinsyn!... — wrzasnął oficer z gniewem i pogardą. — Było mu naprzód łeb ukręcić!...

Na taki silny argument, milknął biedny sołdat, i w skrusze wielkiej przysięgał sobie, że jeżeli tym razem przebędzie pałki szczęśliwie, to już będzie korzystać z nauki oficerskiej.

I to nie facecyjka moi panowie; to prawda regulaminowa wojska moskiewskiego.

Więc też, wracając do mego przedmiotu, podnieceni nadzieją bogatego łupu, postanowili Moskale zajść niespodzianie obóz partyzancki, a tem byli zuchwalsi, że się wielkiego niespodziewali niebezpieczeństwa. Już to w takim razie, Moskale zuchy niepospolite.

Wiele prawią o tęgości wojska moskiewskiego, ale to gadają ludzie, co tego nie rozumieją. Idą w ogień, bo muszą, bo z tyłu grozi im ogień własnych dział, który strachem z tyłu, strach z przodu odgania. Niewolnik prawdziwej odwagi mieć nigdy nie może. Wiedzieli też wówczas, że naprzeciw siebie mieć tylko będą garstkę nieswornej młodzieży, źle uzbrojonej i niedoświadczonej, a tem łatwiej do zniszczenia, bo wrodzona odwaga nie da im się cofnąć ani kroku przed nienawistnym wrogiem.

Jak wam wyżej mówiłem, obóz Szarkowskiego znajdował się w miejscu bardzo bezpiecznem, a do odszukania nadzwyczaj trudnem. Głęboko w puszczy, o dwie mile od Paniewa, wśród bagien niedostępnych, gęstemi zaroślami okolonych i porosłych, osadził się Szarkowski z swoim oddziałem, i opasawszy się zasiekami z drzew jakby naturalną palisadą, sądził się być tak bezpiecznym, jakby w fortecy jakiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z powinszowaniem Nowego Roku.



Rodacy! W tem nowem stuleciu powinien każdy z Was przynajmniej jednego nowego abonenta zjednać dla „Pracy“ — i to takiego, któryby przez całe stulecie „Pracę“ abonował.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

Twarz doktora zachmurzyła się. Spojrzał przenikliwie na Helenę i rzekł szorstko:

— Opowiedz mi pani wszystkie szczegóły śmierci brata.

— Henryk spał — odrzekła drżącym głosem — gdy zaraz po kolei przyszłam do niego. Alicya towarzyszyła mi, ale ponieważ bardzo była zmęczoną czuwaniem ostatniej nocy, przeto prosiłam jej, aby się udała na spoczynek. Odeszła więc, a kika minut później przybył pan Karol... Obawiałam się, że rozmowa nasza może zbudzić śpiącego, przechadzaliśmy się zatem po kurytarzu, ale drzwi do pokoju Henryka były otwarte, zaglądałam też co chwilę, aby się przekonać, czy się nie obudził i czy mu czego nie potrzeba.

— Mogę potwierdzić słowa panny Heleny — dodał Karol. — Hrabia spał spokojnie.

— I nic nadzwyczajnego w tym czasie nie zaszło?

— Nic.

— Nie umiem sobie tego wytłumaczyć — szepnął Gordon zamyślony — O której opuściłeś zamek? — rzekł, zwracając się do Karola.

— O jedenastej.

— I cóż się stało, gdy pani wróciłaś do pokoju brata?

— Myślałam, że śpi jeszcze. Głowa jego osunęła się na lewą stronę, ku ścianie, tak że twarzy nie mogłam dojrzeć, ale gdy przed kilku minutami stałam na kurytarzu, słyszałam, że oddychał spokojnie.

— Więc pani sądzisz, że gdy po odejściu Karola weszłaś do pokoju...

— To Henryk nie żył już, inaczej byłabym przecież zauważyła, że... że...

— Oprócz pani nikogo tam nie było?

— Nie.

— Możesz mi za to zaręczyć?

— Mogę nawet przysiądz!

W tej właśnie chwili wszedł pan Fryderyk.

— Byłem w Beuron — rzekł — ale pana Alfreda nie zastałem w domu. Powiadano mi, że od wczoraj wcale jeszcze nie wrócił.

Nikt na słowa te nie zważał, Helena tylko i Gordon drgnęli mimowoli. Oczy ich spotkały się na chwilę, zdawało się, że jedna myśl zajmuje ich obojga, ale zaraz potem spuściła Helena głowę i zarumieniła się lekko. Więc Alfred był tej nocy po za domem, a nikt nie wiedział, dokąd się udał po odejściu z zamku!

Gordon zbliżył się znowu do łóżka zmarłego. W pierwszej chwili skonstatował tylko śmierć hrabiego, teraz jednak zabrał się do dokładniejszego badania ciała, i zaraz też podejrzenia jego zbudziły się na nowo. Nabrzmiała twarz Henryka, wykrzywione rysy, wyraz straszliwego przerażenia w oczach, wszystko to dowodziło śmierci gwałtownej. Mianowicie krew na ustach podpadła doktorowi, ale na szyi hrabiego żadnych nie było śladów uduszenia. Z początku myślał Gordon o truciźnie, wnet jednak odsunął to przypuszczenie, któż bowiem

miał jej dać nieszczęśliwemu! Siostra? Nie, to było niemożliwem, a rozpacz Heleny zbyt szczerą i prawdziwą — pomimo to wiedział napewno, że okropna zbrodnia została tutaj popełnioną.

Nagle zauważył, że na poduszce, z której się głowa Henryka zesunęła, znajdowała się mała czerwona plamka.

— To krew — rzekł w duszy, — a więc poduszką uduszono hrabiego.

Wzruszony, przerażony, wybiegł na korytarz, usiłując zebrać myśli, potem otworzył okno, aby na chwilę odetchnąć świeżem, zimnem powietrzem. Wysoki parawan, stojący przy oknie, zasłaniał go tak, że z kurytarza nikt dojrzeć go nie mógł, tem mniej, że wszystkie lampy były przyciemnione, i że wokoło zupełna panowała ciemność. Teraz jednak usłyszał odgłos kroków nad sobą, oraz lekkie trzeszczenie posadzki. Ktoś chodził ostrożnie na drugiem piętrze! Gordon był tak obznajmionym z całem urządzeniem zamku, że wiedział, że drugiego piętra nikt nie zamieszkuje, cała zresztą służba była w tej chwili zgromadzoną na dole. Ale ponieważ chodzenie to ustało, więc nie zważał już na nie i wrócił do swych smutnych, dręczących myśli.

Alfred tymczasem rozważył sobie, że stryj Fritz zadziwił się bardzo, nie zastawszy go w nocy w domu. I nagle poznał, że to właśnie grozi mu niebezpieczeństwem, bo nie umiałby nikomu wytłumaczyć swej nieobecności. Że też prędzej o tem nie pomyślał! Przedewszystkiem musi teraz jak najprędzej opuścić zamek, biedz do domu i potem dopiero przybyć tutaj! Ale potem ułożył sobie rzecz tę inaczej. Po co chodzić do Beuron? Wszakże w zamieszaniu, jakie panuje, może zejść ze schodów niespostrzeżony, wmieszać się pomiędzy domowników, i nikt nie będzie się pytać o to, kiedy przybył, i gdzie był dotychczas!

Wyszedł więc z pokoju, a przekonawszy się, że ani na schodach, ani w kurytarzu nikogo nie ma, zbiegł szybko na dół — ale na ostatnim stopniu stanął jak skamieniały!

W tejże chwili poruszył się bowiem parawan przy oknie i Alfred ujrzał Gordona! Doktor stał, odwrócony plecami do kurytarza — więc dotąd nie widział go jeszcze, teraz jednak zamyka okno — jeszcze tylko kilka sekund...

Zimny pot wystąpił na czoło zbrodniarza. Ufając swemu szczęściu, rzucił się naprzód i jednym skokiem stanął przy drzwiach pokoju hrabiego, ale — równocześnie obejrzał się Gordon i spostrzegł go natychmiast.

— Nie wejdziesz pan tam — rzekł groźnie, zbliżając się do niego — zanim nie odpowiesz mi na jedno pytanie.

— Nie wiem, czego pan chcesz odemnie! Chcę wejść i wejdę do pokoju mego zmarłego kuzyna.

— Widziałem pana schodzącego z drugiego piętra - szepnął Gordon, drżąc z oburzenia, — więc pytam, czego pan tam szukałeś? Przepędziłeś zapewne tam dzisiejszą noc?

Alfred uśmiechnął się pogardliwie.

-- Cóż to ma znaczyć? — zawołał. — Wybaczam panu jednak wszystko, bo widzę, że sam nie wiesz, co mówisz!

— Zkąd pan wiesz, że hrabia nie żyje? — zapytał Gordon.

Ale na to żadnej już nie otrzymał odpowiedzi, Alfred bowiem odsunął go lekko i wszedł do pokoju zmarłego.

Doktor udał się na dół. W wielkiej frontowej sieni stało kilku służących, rozmawiających o śmierci ich pana.

— Od kiedy jesteście tutaj! — rzekł poważnie. — Pragnąłbym, abyście mi jak najdokładniej oznaczyli czas.

— Od kwadransu — odparł jeden z lokai — mogę na to przysiądz.

— A kto wszedł w tym czasie do zamku?

— Nikt!

— Wiecie o tem napewno?

Tak jest, panie doktorze!

Ale bocznemi drzwiami mógł ktoś wejść — odezwał się kamerdyner hrabiego:

— Tak, to możliwe, chociażby mnie dziwiło — odrzekł kucharz — bo te drzwi zawsze prawie są zamknięte na klucz.

— Nie wiecie — zapytał Gordon [redacted] to wiedział jednak, że przypuszczenia same żadnego nie mają znaczenia i nie wystarczą wcale sędziemu i prokuratorowi, którym jedynie chodziło o dowody. Musiał więc chwilowo milczeć i ograniczyć się wyłącznie na obserwowaniu domniemywanego zbrodniarza.

Gdy wrócił do Pereuse, szukał daremnie Alfreda. Na zapytanie jego, gdzie hrabia jest, powiedziano mu, że kazał zaprządz i wyjechał, nikt jednak nie wiedział dokąd. Przez chwilę myślał Gordon, że nędznik obawiając się odkrycia swych zbrodni, uciekł, ale po upływie dwóch godzin ukazał się Alfred znowu, spokojny, pewniejszy siebie, niż kiedykolwiek. Daremnie usiłował Gordon wynaleść wyraz obawy na jego twarzy — Alfred bowiem przebiegły i podejrzliwy miał się na baczności i najmniejszego nie zdradzał wzruszenia.

I tak minął cały poranek. Po drugiem śniadaniu zabrał się Alfred do pisania lisów, starając się we wszystkiem pomagać zrozpaczonej Alicyi; patrzał przytem często na zegar i na drogę wiodącą do miasta.

Około drugiej zamierzał Gordon wrócić do Rouches.

— Widzę — rzekł Alfred uprzejmie, — że pan chcesz nas opuścić, proszę więc bardzo, abyś pozostał tu jeszcze.

— Dlaczego?

— Dla tego, że... że będziemy potrzebowali pańskiej obecności.

— Kto?

— My wszyscy!

— Jestem każdej chwili gotów poświęcić rodzinie mego przyjaciela moje usługi, dziwię się jednak, że właśnie panu polecono zwrócić się z tem do mnie. Czegoż więc żądają krewni pana odemnie?

— Nie mogę tego teraz jeszcze powiedzieć, ale wkrótce dowiesz się pan o wszystkiem.

— Zostaję bardzo chętnie, jeżeli obecność moja może się komu przydać!

Mówiąc to, pochylił lekko głowę i udał się do Alicyi, podczas kiedy Alfred pisał dalej listy.

Nareszcie o wpół do drugiej zajechał powóz jakiś przed zamek, a zaraz potem wszedł Alfred do pokoju, w którym się cała rodzina znajdowała. Helena tylko i Julka czuwały przy zmarłym.

— Proszę — rzekł uroczyście — abyście wszyscy zeszli do salonu. Pan zaś — dodał, zwracając się do Gordona usłyszysz teraz, o co chodzi.

— Bardzo dobrze — odparł doktor, nie przeczuwając nic złego.

W salonie tymczasem, przy oknie, stał nowy gość, na widok którego stanął Gordon jak piorunem rażony. Był to pan Aigur, prokurator, dawny jego znajomy.

Doktor poznał od razu, że straszne niebezpieczeństwo, jakie mu zawsze groziło, zbliżyło się teraz do niego, i że nic już ocalić go nie zdoła. Wiedział, że wpadł w zastawione mu sidła i że tym, który go zgubił, nie był nikt inny, jak — Alfred. — Bezsilny, złamany, rzucił się na krzesło, a oczy jego spoczęły w niemem przerażeniu na sprawcy swego nieszczęścia.

Alfred stał uśmiechnięty i zadowolony, i patrzał z tryumfem na swego nieprzyjaciela.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stypendyum

z funduszu ***Imienia ś. p. Jenerała Chłapowskiego*** będzie do rozdania z d. 1-go stycznia 1900 r. Stypendyum to wynosi 600 mk. rocznie, płatnych w ratach kwartalnych po 150 mk. Otrzymać je może młodzieniec, poświęcający się rolnictwu na czas studyów na akademii rolniczej. Zgłaszający się o stypendyum, winien nadesłać na ręce sekretarza Zarządu Centr. Tow. Gosp. WPana K. Koszutskiego w Poznaniu, Półwiejska 5, I. (Redakcya „Ziemianina“) następujące papiery:

1) Metrykę i świadectwo szkolne, przynajmniej ze sekundy gimnazyum lub szkoły realnej.
2) Swiadectwo pryncypała, jeżeli praktykował już jako elew lub płatny urzędnik w gospodarstwie.
3) Urzędowe świadectwo braku środków utrzymania, które zastąpione

być może poświadczeniem własnoręcznem dwóch członków Centr. Tow. Gosp.

4) Krótki życiorys, własnoręcznie napisany, oraz oświadczenie, że innych wsparć nie pobiera, a jeżeli już jakie pobiera, podać ich wysokość i źródło.

Stypendyat zobowiąże się piśmiennie:

a) przesyłać Zarządowi Cent. Tow. Gospod. co pół roku świadectwo swoje akademickie, w oryginale lub w odpisie uwierzytelnionym;

b) napisać co pół roku samodzielną rozprawę na dowolny temat rolniczy i takową przesłać do przejrzenia Zarządowi;

c) wspierać fundusz Imienia śp. Jenerała Chłapowskiego wedle możności, dowolnemi ofiarami, **skoro osiągnie byt niezależny i dojdzie do płatnego stanowiska.**

Uprasza się wszystkie nasze pisma polskie o powtórzenie tej wiadomości.

Zarząd Centr. Tow. Gosp. w W Ks. Pozn.

Od Redakcyi.

Na konkurs gwiazdkowy i noworoczny, rozpisany przez nas, nadesłano nam bardzo wielką liczbę nowel i nowelek wierszem i prozą, a autorami ich czytelnicy i nadobne czytelniczki naszego pisma.

Redakcya sama nie chce decydywnie rozstrzygać o wyniku konkursu i nagrody rozdzielać na własnym wyłącznie opierając się sądzie.

Z nadesłanych nam prac i płodów literackich wybraliśmy te, które mogą rościć sobie prawo do nagrody.

Wzywamy przeto wszystkich nam życzliwych do przeczytania nowelek tych i wierszy, osądzenia i do nadesłania nam sądu swego jako i głosu, komu przeznaczyć nagrodę pierwszą, komu drugą, komu trzecią i t. d.*)

Druk tych nowelek konkursowych ukończymy w numerze, który wyjdzie na święto Trzech Króli; prosimy, aby głosy we własnoręczne podpisy oddających je zaopatrzone, przesłane nam zostały do dnia 15 stycznia 1900; poczem ogłosimy wynik głosowania.

*) Nagród wyznaczonych jest sześć i to: pierwsza 50 mk., druga 30 mk., dwie po 20 mk. i wreszcie dwie po 10 mk. Przyp. Redakcyi.

Do naszych Czytelników!

Obym też kiedyś dożył tej pociechy,
Aby księgi me zbłądziły pod strzechy!
Mickiewicz.

Bóg zapłać wszystkim przyjaciołom za dobre słowo i za poparcie.

Stoimy na dawnym posterunku i nie opuścimy go nigdy, cokolwiek przynieśćby miała mętna fala życia:

Od serca do serca, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z niemi na rodzinną niwę
Miłości i wiary rozsiewane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna!

* * *

Redakcya „Pracy Illustrowanej“ postarała się, aby mianowicie dział powieściowy (**od Nowego Roku znacznie powiększony**) zawierał utwory pierwszorzędnych autorów i dziś już posiada w tece kilka pięknych i **niezmiernie zajmujących powieści** a mianowicie:

[redacted]

Dalej przyjdzie do druku sensacyjna powieść pod tytułem:

Sąd Boży,

przekład z francuzkiego przez B. W.

Powieść ta zajmie uwagę każdego czytelnika od początku do końca. Miłość i zbrodnia walczą z sobą, jedno za wyjaśnieniem prawdy, drugie, by takową ukryć w pomroce czasu.

Wreszcie przyjdzie też jeszcze w druk bardzo interesująca powieść pod tytułem:

Nihiliści,

przekład z angielskiego przez L. D.

Rzecz dzieje się początkowo w Londynie a kończy się na dzikich stepach lodowatej Syberyi.

Nihiliści, ich tajemnicza działalność, deportacya na Sybir, pełna grozy i rozpaczy — to chwile, które czytelnik na długo zatrzyma w pamięci.

Byłoby też zbytecznem zapewnienie, że powieść tę każdy czytelnik z wzrastającem po każdym rozdziale zaciekawieniem i z nerwową niecierpliwością czytać będzie.

* * *

Z cyklu nowelek pojawią się pomiędzy innemi w „Pracy“ **Hajduk Sławko,** junak bułgarski, **Iwan Czajko,** watażka ukraiński, **Tajemnica Moskwy** (zabójstwo cara Piotra) fakt historyczny, **Kozak Polak,** wspomnienie z Syberyi, **Z niewoli tatarskiej,** opowiadanie powstańca, **Notatki z życia,** zapiski weterana, **Szczygieł, majster szewski,** konfederat, **Hadżi Achil,** basza turecki, **Straszny dwór** z horwackiego i t. d. i t. d.

Z początkiem nowego kwartału zamieszczać będziemy stale w każdym numerze dwie powieści i 1 do 2 nowelek.

* * *

Dział poezyi

przeważnie narodowych, nadających się szczególnie

do deklamacyi

na uroczystościach i obchodach narodowych — urozmaicać będzie w większej aniżeli dotychczas mierze bogatą treść „Pracy“.

* * *

W dziale illustrowanym

umieszczać będziemy arcydzieła sztuki polskiej malarzy współczesnych z objaśniającym tekstem jak n. p:

1. „Polonia“ sławny obraz Styki, jednego z największych malarzy polskich.
2. „Pod Dubienką“ Ajdukiewicza.
3. „Podziękowanie wodza.“
4. „Straż nad grobem Kościuszki“
5. „Kolumna pamiątkowa“ w zamku Rapperswylskim.
6. „Zamek Rapperswyl.“
7. „Błogosławieństwo kosynierów.“
8. Rozstrzelanie na stoku cytadeli Warszawskiej“ i t. d. i t. d.

* * *

Portrety sławnych mężów polskich:

Kiliński i widok Warszawy,
Książe Adam Czartoryski,
Książe Józef Poniatowski,
Jenerał Mokronowski.

Jenerałowie: Madaliński, Wodzicki, Zajączek, Ignacy hr. Potocki, ksiądz Hugo Kołłątaj, Chłopicki, Dąbrowski, Dwernicki i wielu innych.

Malarzy:
Matejko, Stachewicz, Fałat, Brandt, Kossak, Ajdukiewicz, Wierusz-Kowalski, Styka i t. d., oraz

wybitnych pisarzy i poetów polskich,

a zawsze z objaśniającym tekstem czyli życiorysem i t. d. i t. d.

Przemysłowcy baczność!

Jako nowość dla wielu nader pożądaną wprowadzamy w tekscie i dziale illustracyjnym

Ryciny i artykuły

dotyczące

sztuki stosowanej w rzemiosłach.

Ponieważ sztuka stosowana weszła obecnie na tory artystyczne i stanowi samodzielną gałąź twórczości, zatrudniającą wybitne talenty europejskie, „Praca" pragnąc zapoznać Czytelników swoich z obecnym jej stanem, da reprodukcye **wybitniejszych modeli** z dziedziny ***ceramiki,***

szklarstwa,

jubilerstwa,

stolarstwa,

tapicerstwa

artystycznego i t. d. uzupełniając illustracye krótkiemi objaśnieniami, dokonanemi przez specyalistów, wskutek czego każdy numer „Pracy" przedstawiać będzie nieocenioną wartość dla każdego przemysłowca.

Z dziedziny prawa

przez wybitnego jurystę

zamieścimy szereg artykułów nowego prawa, napisanych barwnie, jasno i popularnie, tak, aby każdy zrozumiał i czytał z zajęciem.

Dzisiejszy numer noworoczny „Pracy" jest pierwszym w bieżącym kwartale, przeto

czas największy zapisać

„PRACĘ"

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z Poznania.

Kwit abonamentowy załączamy na ostatniej stronie anansów na białym papierze.

Każda poczta jest zobowiązana dostarczyć numery zaległe z bieżącego kwartału.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracyi „Pracy", albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 72 centy,

zaś *już z odnoszeniem do domu*

tylko 80 centów.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Hekate! Karty korespondencyjne z powinszowaniem „Nowego Roku" i z ryciną „Hekate" otrzyma każdy, kto takowe tylko zażąda i to w każdej ilości, natychmiast i bezpłatnie.

Wiadomości.

Najprzewieleb. Księdzu Arcybiskupowi, Czcigodnemu Duchowieństwu, Szanownym Posłom, Ziemianom, Mieszczanom i Kmiotkom, wszystkim naszym Współpracownikom, wszystkim Kolegom w zawodzie dziennikarskim, wszystkim Przyjaciołom, Czytelnikom i Zwolennikom naszego tygodnika i wogóle wszystkim Rodakom w kraju i na obczyźnie, przesyłamy ze serca płynące, a więc dla każdego serca wymowne noworoczne życzenie:

„Szczęść Boże!"

Niech w Nowym Roku spójnią bratniej zgody i życzliwości wzajemnej łączą się dłonie i duchy i serca nasze — niechaj nam spłynie moc „wiary", blask „nadziei" i zapał bratniej „miłości!"

„Szczęść Boże!"

REDAKCYA.

Noworoczny numer „Pracy" kosztuje 50 fenygów — z franko przesyłką 60 fenygów.

Gród Lecha obchodzić będzie w bieżącym roku (1900) aż 3 dziewięciowiekowe rocznice — ubiega bowiem 900 lat od założenia biskupstwa gnieźnieńskiego, 900 lat temu koronowany został w Gnieźnie Bolesław Wielki pierwszym królem polskim i wreszcie przed laty 900 cesarz niemiecki Otton III przybył do Gniezna pod pozorem pomodlenia się przy grobie św. Wojciecha, a w rzeczywistości jedynie w celu poznania rozumnego i walecznego Bolesława.

Aby uczcić w godny sposób te dziewięciowiekowe rocznice, wydamy w swoim czasie numer jubileuszowy.

Na Czytelnie ludowe złożyli na ręce nasze: S. z Monasteru 1 mk., p. Julian Kołaczkowski z Budapesztu 1 mk. 70 fen. razem 2 mk, 70 fen. Dalsze składki na cel ten przyjmujemy jak najchętniej.

Najserdeczniejsze podziękowanie składamy Czytelnikom naszym w Poznańskiem, Prusach Zachodnich i Wschodnich, Górnym Ślązku, w Galicyi i na obczyźnie za tak liczne nadesłane adresy osób, mogących abonować „Pracę".

Towarzystwo Czytelni dla Kobiet w Poznaniu donosi nam, iż w ostatnim czasie do biblioteki zakupiło nowe książki treści naukowej, powieściowej i t. p.

Przystęp do Towarzystwa ma każda dorosła kobieta. Wstępne wynosi 1,00 mk., składka miesięczna 1,00 mk.

Do użytku członków, oraz gości wyłożone są przez tydzień po 15-ym każdego miesiąca wszelkie świeżo nadesłane i nabyte nowości. Z biblioteki i pism korzystać mogą oprócz członków i goście, lecz tylko na miejscu.

Zwyczajne zebrania członków odbywają się co wtorek o godzinie 8-ej, — zebrania Wydziału, w których wszyscy członkowie brać mogą udział, odbywają się teraz dwa razy na miesiąc i to we wtorki po 1-ym i w piątki po 15-ym każdego miesiąca.

Przyszłe posiedzenie Wydziału odbędzie się w piątek 5-go stycznia 1900-go o godzinie 5-tej po południu.

Grodzisk, 17 grudnia 1899. Przed kilku dniami kupił tu Bank Parcelacyjny z Poznania gospodarstwo w pobliskiem Grąblewie. Na termin parcelacyjny zeszło się bardzo wielu drobnych reflektantów.

Niestety Bank miał na sprzedaż tylko 4 większe parcele i je częścią już na dworcu, częścią w mieście sprzedał, tak że termin na miejscu zniesionym być musiał.

Wobec tego faktu dobrzeby było, aby Bank Parcelacyjny znów tutaj co nabył i w małych parcelach pomiędzy naszych ludzi rozsprzedał a zapobiegnie wychodztwu tychże do Saksów.

Z Brazylii, 15 października. Dnia 8-go września r. b. przybył do mnie pewien człowiek i przedstawił mi się jako familiant, jako brat cioteczny, Władysław Palczewski z Prus. Oświadczył, że posiada majątek i wypisał z mej metryki akt mego urodzenia, który rzekomo miał posłać do sądów pruskich w sprawie spadku po Feliksie Dreżewskim. Wkrótce okradł mnie, zabrawszy 4,000 mileraisów i uciekł; kradł także w okolicy, między innemi ukradł sąsiadowi welocyped. Złodziej jest wzrostu średniego, czerwony na twarzy i ma blond wąs.

Poszukuje po raz drugi familii po Dreżewskim, jako syn po ojcu, Feliksie Dreżewskim, Józef Dreżewski, Estado Sao Paulo, Sao Bernardo Colonia, Brazylia, Rio Pikero nr. 10.

Zmarli:

S. p. Józef Lekszycki, licząc lat 82, w Poznaniu. Zmarły długie lata pracował jako urzędnik starego Ziemstwa, potem został archiwaryuszem w tutejszej rejencyi, na któ-

rem to stanowisku pracował do ostatniej chwili. Zmarły był zacnym, powszechnie szanowanym obywatelem i gorącym potryotą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu W. S. z B., który na rozpisany konkurs dla czytelników „Pracy“ nadesłał nam do numeru gwiazdkowego nowelkę p. t. „Wigilia“ Rodziewiczówny — z opuszczeniem nazwiska — odpowiadamy niniejszem na jego tłomaczenie się, że wprawdzie wierzymy, iż nie uczynił tego dla zysku, lecz tylko z życzliwości dla pisma i jedynie dlatego, by czytelników z tą nowelką zaznajomić; — jednakowoż nie możemy mu zaoszczędzić zarzutu, iż podpisanie swego nazwiska pod cudzą pracę było co najmniej nie na miejscu!

Panu P. Kwiczorze w Gr. Komorsk. Prosimy nadesłać prenumeratę z góry (1,70 mk.), a przesyłać „Pracę“ będziemy pod opaską do 1. 4. r. b.

Panu M. w Mrocznie. Podług prawa handlowego jest dla Pana korzystniej, jeżeli Pan nie zawrzesz z pryncypałem swego syna kontraktu piśmiennego.

Panu Br. K. z G. W takich sprawach finansowych trudna rada: nawet sam mądry Salomon mógłby doradzić niedobrze.

Pan A. W. w Samborze (Galicya). „Wiaras“ Bochum, Westphalen.

Panu Stefanowi R. w G. Hrabiów noszących to nazwisko jest kilku, więc poinformować nie możemy.

Panu R., kand. med. w Gryfii. Jeżeli bezinteresownie — prosimy.

Panu Wacławowi Sz. w Opolu. Odesłaliśmy autorowi do odpowiedzi.

N. N. w L. „J. Zwoliński i Spółka w Krakowie.“ „H. Altenberg we Lwowie.“ „Gebetner i Wolff w Warszawie“.

Do Tarnopola, Galicya. Dziękujemy za zagadkę i adresy.

Do Kępna. Za dział inseratowy Redakcya nie bierze żadnej odpowiedzialności, a administracya stosuje się w każdym poszczególnym przypadku do życzenia interesentów, którzy właśnie w tych przypadkach nadesłali nam już gotowe klisze własne z wiadomą treścią. Zasady tej trzymają się wszelkie inne wydawnictwa gazet polskich.

Panu Leonowi Stańskiemu w Levallois-Perret (Seine). Wiersze owe skutkiem rewizyi odbywanych w redakcyi zaginęły. Ze sztuk teatralnych korzystać nie możemy.

Panu J. P. w Kruświcy. Na jeden hektar łąki potrzeba li tylko kainit i to 4 centnary — można wysiać w dwóch oddziałach. Za rychłej wiosny co 4 tygodnie; tomasówka nadaje się tylko na mokre łąki, gdyby takowe miały być mokre to również 4 centnary w 2 oddziałach z wiosny.

Panu M. Bogaczykowi w Biesiadowie. W księgarni Leitgebra w Poznaniu.

Panu Franciszkowi Paluchowskiemu w Mroczy. Książek do czytania na składzie nie posiadamy. Za skuteczną agitacyą serdecznie dziękujemy.

Panu Karolowi P. w Królewskiej Hucie. Zgłoś się Pan w tej sprawie do dyrekcyi Czytelni Ludowych w Poznaniu.

Panom K. S. W. L. Zastosujemy się ile możności do Ich życzeń.

Panu Janowi D. Z. Słuszna uwaga.

Panu Antoniemu S., gospodarzowi pod Książem. Podawać będziemy.

Panu Romanowi B. w Pobiedziskach. Dziękujemy — zamieścimy.

Panu St. B. w Śremie. Udaj się Pan wprost do dr. Nicholsona, napisz Pan w języku niemieckim lub angielskim.

Panu Józefowi N. w Miasteczku G. S. Dziękujemy za adresy — list zamieścimy po świętach.

Panu Z. Gr. w Miłosławiu. Z powodu nawału materyału gwiazdkowego zamieścimy po świętach.

Panu Józefowi K. w Poznaniu. Dziękujemy — zamieścimy.

Przewielebnemu Księdzu M. P. w Nowym Sączu. Z powodu rewizyi policyjnej artykuł zaginął w redakcyi.

Dr. J. w Poznaniu. Z powodu nawału materyału zamieścimy po świętach; bardzo dziękujemy.

Pani M. P. w Poznaniu. Z przyczyn niezależnych od Redakcyi nie mogliśmy zamieścić.

Panu Wojciechowi Cichockiemu w Donatowie pod Błoeiszewem. Za ogłoszenia wszelkie i reklamy zamieszczane pod rubryką „Nadesłane“ Redakcya nie bierze żadnej odpowiedzialności, jak to zresztą jest zamieszczone w każdym numerze „Pracy“. Co do sprawy Pańskiej, to Mu tylko taką informacyą dać możemy, jaką dr. Nicholson kazał ogłosić w piśmie naszem, ale za wiarogodność jej nie ręczymy. Udaj się Pan w tej sprawie piśmiennie wprost do dr. Nicholsona.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).